Powiatowa
L:637

Lg. 3345
KKW

WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK
STEFAN
ul. Jagiellońska 27

Czytelnia Mieszczańska
2116

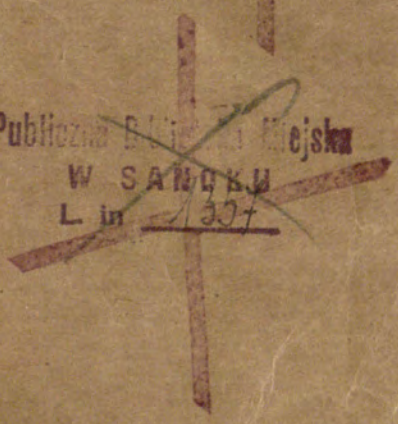
Publiczna Biblioteka Miejska
W SANOKU
L. in. 1337

Lg.- 3375

JANINA PEŁEŃSKA.

Czytelnia Mieszczańska w Sanoku
1062
Czytelnia Mieszczańska w Sanoku
2116
WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK ST. PAŃSKI STEFAN SANOK ul. Jagiellońska 27.
Publiczna Biblioteka Miejska W SANOKU L. in 1357

Na falach życia.

W PRZEMYŚLU
W 1910. R.
Drukiem: J. Styfiego.
Nakładem księgarni: A. Jaszyńskiego.
WARSZAWA: Gebethner i Wolf.

Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna w Rzeszowie
A-16956
001-0019793--00

A-16956

19793

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA W RZESZOWIE

~~690~~

W S N Biblioteka Publiczna

L: 637

Wszechświat, jestestwo nasze, jak w łańcuchy,
W zagadek bytu ciemne spętał moce!
I próżno duch mój z niemi się szamoce,
Jak wszystkie dotąd inne ludzkie duchy,
Co myśli siłą chciały stargać pęta....
Padły w tej walce, jakby trawa ścięta!....

Nad nami — bezmiar światów promienieje....
Cudem harmonii — lada owad mały...
Ty, duszo ludzka, strojna w ideały,
W zdolność zachwytów, świetlane nadzieje,
Jakby dzieł wszystkich nadobna korona,
Do szczęścia tylko zdajesz się stworzona!

Więc się rozkosznie zanurzaj w zachwycie!
Upajaj ptasząt śpiewem, kwiatów wonią,
Igraszką zwierząt, co po lesie gonią —
Bogactwem świateł na niebios błękicie...
I wołaj głośno: hosanna! — o dziwy!
Jak Stwórca dobry! jaki świat szczęśliwy!

Tylko nie zajrzyj głębiej w tę harmonię! —
Zdaleka mijaj pstry turniej zwierzęcy!...
O, — bo posłyszysz jęk stworzeń tysięcy,
Co każdej chwili — w każdej świata stronie,
Wśród mąk straszliwych kładą biedne życie
Na krwawy ołtarz prawa o wszechbycie!

A gdy cię jeden taki jęk doleci,
Już on w Twej piersi przenigdy nie skona —
Ale — jak harfa bolów rozdźwięczona,
Takie akordy męki świata wznieci,
Takie ci morza boleści ukaże,
Od jakich ludzkie kamienieją twarze!

Posłyszysz wtedy... wśród wodnych przeźroczy,
Co dotąd słodkie szepcą ci symfonie,
Miliona stworzeń jękliwe agonie,
Jęk wodnej lilii, którą robak toczy
I jęk tej fali, co przy żadnym brzegu
Nie zazna nigdy spoczynku w swym biegu.

A jęk ten równie rozedrze ci serce,
Jak te rozgłośne jęki, które ciska
Hen z dalekiego ludów bojowiska
Z bolem i śmiercią w rozpacznej rozterce
Krwawa pierś rannych, gdy z przyczyn swej zguby
Od niebios jękiem tym żąda rachuby!

I dalej harfy posłyszysz hejnały,
Kiedy bolesną skargą w struny dzwonią
Duchy, znużone daremną pogonią
Za miarą szczęścia dla ludzkości całej,
Nabrzmiałe płaczem sierót — starców łzami,
Co nad młodzieńców chylą się grobami.

....I harfa twoja męką krwi ociecze,
We łzach goryczy cała się zanurzy....
W zakaźnych jadach, w występków kałuży
Płynąć ci będzie — aż wszystkie człowiecze
I ziemskie męki wzniosą się nad góry,
Krzepnąc w swym bolu, jak lodów marmury.

I na tem wielkiem boleści podłożu
Brzeg twojej harfy wesprze się skrwawiony!
...A wtedy poczną płynąć do niej tony,
Już nie — boleści ludzkiej — lecz te w morzu
Wszechświata tkwiące, w kosmicznej drobinie,
Od brył słonecznych — do pyłka, co ginie!

Wtedy zrozumiesz ból wieczny, szalony,
Co światom nigdy nie da spocząć w ruchu!
Wtedy wyczujesz ból w każdym podmuchu
Wichru, co niesie atomów miliony
A każdy atom — w łonie swojem mieści,
Równy olbrzymom — wielki świat boleści!

Wtedy zrozumiesz, że jednem pytaniem
Strasznem, daremnem — wszystkie twory jęczą;
Dlaczego cierpień złączone obręczą
Wszystko, co żyje! — Czyjem rozkazaniem
W udziele męki stworzenie zrównane
Ekspiacyę czyni — za winy nieznane!

Wszechświat jestestwo nasze, jak w łańcuchy,
W zagadek bytu ciemne spętał moce!
I próżno duch mój z niemi się szamoce,
Jak wszystkie dotąd inne ludzkie duchy,
Co myśli siłą chciały stargać pęta...
Padły w tej walce, jakby trawa ścięta!....

A gdy przyszło powrócić...

stokroć lepiej odczuwa ona na nich—na każdym z nich z osobna, słodki żar pocałunków, które płyną ku nim z jego zachwyconych, rozkochanych oczu.

Spojrzenie jego zbiera z pobożnem ubóstwieniem te lotne struny złociste i wiąże je w przedziwne akordy blasków i tonów, spragnione wieczność całą tworzyć, a z tych akordów przedziwne, barwne ~~tworzy~~ symfonie.

Ona odczuwa — słyszy duszą rozradowaną tę jego muzykę mistrzowską, muzykę jego ukochania, blaskiem i tęczami na tych wiotkich strunach drgającą — i w zamian szle mu spojrzenie pełne dziękczynienia.

Lecz co to? Nagle oczy jego, zda się, na zawsze... zachwytem do złocistych nici jej włosów przykute, poczynają się od nich odrywać, jakby pod działaniem przemożnej, nieprzepartej siły. Odchodzą od nich, jakby z żalem i ociąganiem, jakby przedtem jeszcze unieść z sobą chciały wszystkie ich blaski, by owinąć sobie nimi duszę i serce — odchodzą, jak niewolnik od dobrego pana, gdy go przemocą odrywa potęga....

Lecz niebawem żal ów chwilowy błyska jeszcze jaśniejszym płomieniem zachwytu, bo oto poznały już, co to za moc tajemna oderwała je od złocistego instrumentu: To czarowna głąb jej ciemnych źrenic.

A w tych cudownych głębinach odkrywa takie cuda, takie przepychy, że gasną przy nich oślepiające wzrok skarbce wschodnich padyszachów.

Za te skarby i przepychy, jakie oddaje mu na własność Jej miłosne spojrzenie, wzgardziłby bez wahania wszystkimi skarbami ziemi.

A każdy Jego nowy nastrój, nowy zachwyt, prze-

nika cudowną intuicyą całe Jej jestestwo, odbija się w Jej duszy, jak światło w ognisku soczewki i przejmuje Ją rozkoszą przejasnego szczęścia....

....Chwile mkną niepostrzeżenie, ni krótkie ni długie, godziny, jak minuty, minuty, jak wieczność...

....Ani się spostrzegli, kiedy żab rytmiczna orkiestra świergot ptaków zastąpiła — a złote fal odblaski blady nocy wysłaniec w swoje srebrzyste szaty przyodział.

Nie spostrzegli zmian oświetlenia, bo w ich sercach zawsze jednaka jasna łuna światła — a wyrytego w ich oczach wzajemnego obrazu nie zdołałyby najgłębsze cienie nocy przysłonić.

Udzieliła im się tylko ta błoga miękkość uczuć, właściwa przyrodzie o wieczornej porze, kiedy najostrzejsze łagodnieją kontrasty, kiedy barwa zlewa się z barwą, linia z linią łączy, kiedy cały świat obchodzi wiecznie się odnawiające a zawsze jednakowo uroczyste Święto Zjednoczenia.

....I oto — dłonie ich zjednoczyły się w czułym uścisku a usta w długim, pierwszym pocałunku!...

....I trwali w nim, w tym cudnym, tym czystym, tym jedynym na świecie, co nie jest sługą-liktorem żądzy, co drogi jej nie toruje.

On sam, cud wielki i przepyszny, jest sobie początkiem, osnową i końcem, mieści w sobie cały olbrzymi miłości poemat, jest jej najwyższym, najszczytniejszym wyrazem, jej całą poezyą, muzyką i plastyką.

I dla tych dwojga był on szczęśliwą wyżyną, na którą raz tylko jest dany na tej ziemi przystęp szczęśliwym życia wybrańcom, by z niej zobaczyć mogli

odblask wiecznotrwałej ekstazy niebian. Lecz widok to zbyt wspaniały, szczęście za promienne dla słabych sił ludzkich, potęgą swoją rozszarpałoby na strzępy słabą lepiankę ich ciała — dlatego trwać może krótko, przeniknąć tylko świadomość szybkością błyskawicy.

Więc czujny Geniusz Przypomnienia, zaledwie do tej boskiej chwili przywiódł swoją Wybrankę, już odjął od niej swe dłonie.

A jak długo, długo po słońca zachodzie niebo nie przestaje świecić jego promiennymi blaskami, tak, choć Moc działać przestała, długo, długo jeszcze, twarz szczęsnej Wybranki jaśniała świetnemi barwami powrotnej fali przeżytych niegdyś zachwytów.

I jak na niebie wtedy dopiero gwiazdy wschodzić poczynają, gdy świetne słońca odbicia złagodnieją, przygasną i przejdą w ciche spokojne tło szafirowe, tak Przypomnienie czekało cierpliwie, aż oblicze jego gościa powlokła cisza jasnej równowagi, co przywraca zdolność odczuwania nowych wrażeń.

— — — — — — — — — — — —

A wtedy znowu ujęło Jej dłoń i powiodło na znane Jej zdawna ścieżki i pola, lasy szumiące i łąki kwieciste i znowu tchnęło ku niej czarodziejskiem zaklęciem:

— Pamiętasz?!...

Dwoje ich snuje się po polnych ścieżynach, zbiera kwiaty łąk, upaja się wonią lasów. Oboje piękni, oboje młodzi, do szczęśliwości stworzeni. Cała przyroda, to

ylko tło dla Nich dwojga, dla Ich miłości, na to stworzona, by być jej jasnem zwierciadłem, bo Ich miłość — to punkt ciężkości świata, to oś jego i środowisko.

Ona dla Niego—to Bóstwo ożywiające całą przyrodę. On jej przewodnikiem, bez którego czułaby się na ziemi, jak zbłąkane na obcej planecie dziecię-sierota.

...Przez dzień cały słoneczny, złoty dzień, zbierali kwiaty na łąkach, słuchali czarodziejskich baśni leśnych puszcz i zarośli, wpatrywali się w złotem i purpurą tkane, cudne obrazy, które fantastyczny malarz—słońce po przez liści szpary malował na leśnych płótnach — polanach.

A teraz, wieczorną porą, usiedli pod brzozą białą, niejednokrotną powierniczką ich najtajniejszych zwierzeń, najczulszych wynurzeń.

I teraz brzoza—przyjaciółka wita Ich gościnnie, małe jej listeczki muskają Ich czoła w jakiejś macierzyńskiej pieszczocie, a ona cała nachyla się ku Nim życzliwie, obejmuje Ich swojemi wiotkiemi gałązkami w czułą opiekę i drży cała, drży tajemnie, jakby się lękała trwożliwie o przyszłość tych swoich ukochanych, jakby pragnęła Ich przestrzec przed jutrem zdradliwem...

Lecz oni nie słuchają — nie są zdolni zrozumieć lękliwej mowy brzozy opiekunki.... połączeni czułym uściskiem są szczęśliwi niezachwianą pewnością, niezłomną wiarą młodych serc kochających.

Przed Nimi odcinają się ostro na jasnem tle niebios ciemne kontury gór i lasów, tu zarysowując się w strzeliste kształty wieżyc gotyckich, tam w rozłożyste piramidy. Owdzie znów układa się krajobraz w fan-

tastyczne miasto zakrzywionych chińskich wieżyczek, które, gdy mrok ciemnieje a niebo w głębszy szafir przechodzi, tracą swe wyraziste zarysy, zlewając się w jednostajność płaskich, muzułmańskich budowli, przerywanych miejscami wynioślejszem nad inne drzewem niby wysmukłym minaretem.

A w ślad tych zmiennych obrazów, wyobraźnia Jego wiedzie Ją, to w tajnie gotyku średniowiecza, to nad Nilu życiodajne wody, to w żółte piaski Chin, to w fantastyczny świat baśni wschodniej. W tej cudownej mroku godzinie On staje się miłością tak potężny, że dla Jej szczęścia wydziera Bóstwu niedostępną dla śmiertelnika moc tworzenia bytów, co więcej — Bóstwo samo przewyższa, bo nie jednym nędznym bytem ją darzy ale całym bytów szeregiem. A ona przeżywa je wszystkie stokroć istotniej, stokroć intenżywniej niż swój zwykły byt ziemski. Przyjmuje je wszystkie całem swojem jestestwem, te dobre, przepiękne życia, tak wielkie, pełne treści, tak niezmącenie szczęśliwe.

A w każdym nowym bycie, w każdej nowej metamorfozie, miłość jego dla Niej coraz jaśniejszym, pełniejszym blaskiem płonie, na coraz wznioślejsze wzbija się wyżyny. Wszędzie i zawsze Ona Mu królową, Ona Jego jedyną myślą i troską, jedynem ubóstwieniem.

. . . . . .

Wschodząca nad strzelistymi gotykami jodeł i do nich jeszcze przyparta pełnia księżyca, to tarcza złocista,

zawieszona na najwyższej wieżycy średniowiecznego miasta, na znak, że w niem dzisiaj rycerze bez trwogi i skazy walczyć będą o pierwszeństwo cnót i piękności dla damy swojego serca.

Na zamkowej terasie Ona, cudna kasztelanka, stoi jak róża spłoniona a On, Jej nieustraszony rycerz, idzie ku Niej w błyszczącej zbroi i zgina przed Nią kolano, by Mu błogosławiła w rycerskie szranki, gdy pójdzie dla Niej zdobywać zasłużoną palmę pierwszeństwa. Więc pierś Jej przepełnia uczucie słodkiej dumy. Wierzy niezachwianie w Jego niezłomne męstwo, więc ze szlachetnym spokojem odejmuje szarfę obejmującą jej biodra i Jego pierś nią opasuje, a potem znaczy Mu nad głową krzyż świętej wiary.

Pod tym podwójnym puklerzem On idzie śmiało w bój i wraca zwycięzcą, bo mieczem Jego i kopią boska kierowała potęga, bo prym cnót i piękności Jej tylko, Najpiękniejszej z Najpiękniejszych, z cnotliwych Najcnotliwszej w sprawiedliwym przypaść winien był udziele. A wtedy po trudzie boju dziennego, dzielny rycerz w tkliwego minstrela się przemienia i nocną porą pod jej balkonem rzewną pieśń miłości nuci....

. . . . . .

Księżyc wznosi się wyżej i gotyckie wieżyce usuwają się w cień a na pierwszy plan występują rozłożyste stożki gór—piramid.

Wtedy Ona przeistacza się w tajemniczą boginię

Izydę a On, Jej kapłan, służy jej życie całe na klęczkach, w mistycznem upojeniu, spala na Jej cześć najwonniejsze dymy kadzideł, tworzy dla Jej ucha najdźwięczniejsze hymny bałwochwalcze:

Ty Piękna, Ty Boska, Ty Wzniosła, Tyś Wszystkiem a cały świat prochem i niczem, ale Ty Bóstwo, potężna mocą tworzącą i utrzymującą światy, prochy te ożywiasz, nicość czynisz treści pełną. Bo Twój sam widok nieci w wszechświecie jedynie życiodajny ogień miłości, zdolny krzesać iskry rozumu, potęgi i siły.

I jam bez Ciebie tylko proch i nicość, lecz w wysławianiu Ciebie, w służeniu Tobie, czerpię siły bogom nieśmiertelnym równe.

. . . . . .

I znów fantastyczny blask księżyca wysuwa na pierwszy plan groteskowy świat pagód rogatych a w ślad za tym blaskiem idzie i Jego wyobraźnia, by dać Jej nowy byt przeżyć, skarby nowej krainy rzucić pod Jej stopy.

Z żółtych, złotem zasianych piasków, z barwnych kwiatów i delikatnie rzeźbionych liści, ściele dla Niej miękkie kobierce; zamienia się w Tytana, by wszystko, w co zdobne „Królestwo środka ziemi", ten cudowny i tajemniczy świat świętych smoków i zagadkowych bóstw złocistych, wielkich i groźnych w swej milczącej zadumie, — wszystko, co ono mieści w swem łonie i przez lat tysiące jego pracownicy zgromadzili a mędrcy wymyślili, zdobyć dla Niej w kornej daninie.

Namula więc pracą swe dłonie, wydzierając górom, skałom i rzekom ukryte w nich skarby, gromadzi szkarłatne porfiry i nefryty zielone i płowe onyksy i szafirowe kamienie lapisów, by wykuć, w barwną mozajkę ozdobić tron dla Niej, tej swojej uwielbionej. I jeszcze niedość tron dla Niej wspaniały, więc rzuca nań morza brylantów, szmaragów i szafirów.

I znowu w pracy nieustannej zbiera jedwabiste kokony, wysnuwa z nich co najpiękniejsze nici, od słońca pożycza im barwy i tka z nich dla Niej przepyszną szatę złocistą, i przyoblekłszy Ją w ten symbol królewskości, wiedzie po miękkich kobiercach jasnych nenufarów na stopnie tronu wspaniałego. Nad Jej głową zawiesza wspaniałe sklepienie piór pawich, co lekko chłodzą Jej głowę.

I jako władczyni tej krainy na wspaniałych koronkach porcelanowych naczyń, wydartych sztuce najbieglejszego artysty, co pół życia spędził, złocąc je i barwiąc w przecudną emalię, znosi Jej najsłodsze, najprzedniejsze owoce morw, granatów i bananów, które dla Niej tylko wyrosły w gajach zacisznych, pod złotym słońca blaskiem, których nie zbrudził żaden brudny pył, nie skaziło żadne ludzkie spojrzenie.

Wznosi z lekkich bambusów pełne wdzięku przybytki na Jej mieszkanie i u wrót jego czyni się stróżem Jej bezpieczeństwa.

I niejedną walkę stoczyć Mu przychodzi wśród bujnej, dzikiej przyrody, gdzie w zaroślach nadrzecznych czyha zwierz głodny a potężny, a wieczorną porą idzie na żer, na łup.

I niejedną ranę w tych walkach odnosi, lecz nie szuka na nią ziół leczących, ni balsamów cudownych, bo najlepszym lekiem, cudownie gojącym balsamem, jest Mu wdzięczne spojrzenie Ocalonej.

. . . . . .

Ciemność krajobrazu się pogłębia, rogate daszki przeistaczają się w płaskie budowle muzułmańskie.

W niedostępnym dla profana, na wewnątrz głuchym, nigdzie nie przerwanym murem otoczonym seraju, gdzie matowym blaskiem świecą marmury krużganków, liczne fontanny miliony pereł kroplistych sieją, a olbrzymie, różowem i białem kwieciem obsypane oleandry użyczają chłodu i cienia, rozpiera się szeik potężny, władca mnogiego ludu i tłumu bitnych niewolników. U stóp jego w srogich więzach jęczy Ona, świeżo pojmana branka – niewolnica....

Lecz niewola Jej krótka, bo już zjawia się On, Jej obrońca i mściciel, przedziera się przez warty i straże; ni mur dla niego nie jest nieprzebyty, ni straszne ostrze niewolników piki, gdy chodzi o Jej wyzwolenie. Wszystkie przezwycięża przeszkody, staje oko w oko z dumnym władcą, wyzywa struchlałego widokiem Jego nieustraszonego męstwa do walki, kładzie go trupem.

Potęgą swej nieugiętej woli, swego geniusza władczego, czyni sobie poddanym lud jego, staje się panem jego państwa, jego ziem, jego skarbów...

...A wtedy On, potężny i wielki, nieustraszony w obec wroga, On, dla którego niepodobne się iści, któremu uledz musi wszystko, nad czem zawładnąć myśli Jego orlej się podoba, składa na piersiach ręce na znak poddaństwa i bije kornie czołem przed Nią — niewolnicą. Rozwiązuje krępujące pęta, przyobleka Ją w najpiękniejsze szaty, w najkosztowniejsze klejnoty, zdobi Jej czoło, szyję i ramiona i w Jej ręce składa zdobytą władzę i wszystkie swoje zdobycze. Lecz nie dość na tem. On sam oddaje się Jej w niewolę, składa u Jej stóp swą dumę, swą niezależność. Nie Jego, ale Jej niech się dzieje wola!

I to dar najszczytniejszy, nieprzewyższony. W obec jego niezmierzonej ceny gaśnie blask wszystkich najwspanialszych poprzednich jego darów.

Jeźli mężczyzna silny i śmiały, mężczyzna dla całego świata nieugięty wzniesie się do takich wyżyn uczucia, że stanie mu się nieprzepartą potrzebą duszy złożyć Ukochanej w darze to, co mu jest najdroższem, swą wolę i niezależność, to kobieta owa posiadła klejnot ponad cenę. I jeśli jest prawdziwą kobietą, to w jej czystych dłoniach klejnot ten nabierze nowego hartu, zapłonie dyamentowym blaskiem najwyższej, najbardziej oczyszczającej i najwznioślejszej zdolności ducha ludzkiego — ofiarnem zaparciem się egoizmu, zdolnością poświęcenia.

Po tej ofierze dopiero poznaje nasza Bohaterka ogrom miłości Ukochanego. I dość Jej tej chęci, dość Jej zamiaru; korzystać z ofiary — to byłoby jej wartość obniżyć. Ona Mu zwraca tę ofiarowaną sobie wolność,

dumę, niezależność, stokroć cenniejszą, niż ją otrzymała, bo zahartowaną w ogniu poświęcenia.

Jej dość być powojem wiotkim, co cały swój byt zawdzięcza sile dębu, na którym się wspiera, ufny w jego opiekę.

Lecz świadomość, że jest ukochaną najpotężniejszą miłością, na jaką zdobyć się może serce mężczyzny, napełnia Jej duszę niewysłowioną, nieziemską szczęśliwością....

...I w tej chwili Przypomnienie odejmuje od Niej swe dłonie, jak wielki muzyk po najsilniejszym akordzie finału.

. . . . . .

Czeka Wróżka uciszenia przebytych szczęsnych wzruszeń.... czeka długo, cierpliwie.... a potem znów, słowem: „Pamiętasz"? nowy obraz zaklina z przedbytu.

I znowu Ich dwoje, skąpanych w jasnych promieniach słońca idzie brzegiem szumiącej rzeki.

Srebrzysta rzeka szumi to rzewną i tkliwą, to ochoczą nutą... Jakieś cudnie dźwięczne, niezwyczajne jej tony!... Bo dziś ona, jak dobrze strojna skrzypka, wtóruje zgodnie pieśni, co płynie z ust kochanka.

Już zwykłej mowy dźwięki za mało podatne, są ubogie słowa, by mogły wypowiedzieć to, co serce Jego wyrazić każe.

Pieśń, ta jedynie czysta niebios wysłanka, aniołów służebnica, pieśń, co jedynie godna wypowiadać uczucia

wielkie, wzniosłe, najwyższy objaw miłości zastępu jasnych Cherufinów, gdy wielbią Bóstwo—ta pieśń jedynie może mu być tłómaczem.

...I płynie z ust Jego pieśń cudna, dźwięczy przejasnymi tony, jakby czyste złoto Jego miłości roztopiło się pod wpływem własnego żaru i wylewało się w tej olśniewającej dźwięków kaskadzie.

Pieśń płynie i płynie, zalewa Jej słuch tysiącem brzmień przecudnych, rozdźwięcza sobą całą przyrodę, tworzy w około Kochanki morze ciepłych upajających tonów...

... Och jak Jej dobrze w tej boskiej kąpieli!...

Morze tonów rośnie, potężnieje, i wznosi Ją coraz wyżej na swych zaczarowanych falach, coraz wyżej w sfery niebiańskich zachwytów.

— Gdzież to niebo, ku któremu rwą się duchy przyziemne w daremnej tęsknocie?...

— Ono gdzieś, już tuż—blizko być musi. Ona je już przeczuwa wyraźnie w swem rajskiem uszczęśliwieniu. Już, już.... to niebo — Tak... A jak piękne, stokroć piękniejsze nad ludzkie o niem marzenie!...

— Czy był kto w niem przedemną... i jakiego to Archanioła dłoń mnie do niego uniosła?...

— Ach, to fala pieśni rozdźwięczała się z ust Kochanka najpotężniejszym, najbardziej niebiańskim wyrazem: Kocham, kocham, kocham... i ten to dźwięk czarodziejski otworzył Jej niebios podwoje....

— O słodka Nirwano tego słowa! W tobie rozpływa się rozkosznie poczucie własnego ja, ciasne poczucie odrębności bytu!

I czarowne morze miłosnej Nirwany zalewa ich dusze, przenika je nawskróś.... Już dla Nich nie istnieje różnica między „kocham“ a „jestem kochanym“. To, co jest w nich, każdy nerw ich istoty, wszystko, co w około nich, każdy atom wszechświata, tworzą jeden wielki, niemilknący akord miłości, szczęścia, upojenia, w którym rozpływają się istności Ich obojga.

Dusz Ich, jak strun arfy strojnej, dotknęła mistrzowska dłoń miłości i połączyła w nierozdzielnem unisono!

I niema już ani Jej ani Jego, jest tylko anielsko rozdźwięczona arfa Ich miłości!...

Iści się cud szczęścia, cud i cel życia się iści w doskonałej miłości, w wieczystej harmonii!

— Już tu na ziemi?...

— O nie, tu szczęście może być tylko migawkowym blaskiem, błyskawicą nadniebnych światów.

Potwór rzeczywistości czyha i praw swoich broni!...

Odegnany na chwilę przez czarowne Przypomnienie, wraca jednak niebawem po swoją ofiarę!... Rozsnuwa mgłę ułudy i marzenia, potrząsa nieubłaganie kajdanami obowiązków, warunków bytu i istnienia i wzywa chwilowego zbiega napowrót do łodzi życia, na szare fale nieprzerwanej powszedniości.

Daremnie Nieszczęsna bronić mu się pragnie!... On wysuwa ku Niej, jak polip olbrzymi, tysiące okrutnych ramion, co zwą się otoczeniem, rodziną, obowiązkami stanu, środowiskiem bytu, względami społecznymi i etycznymi i jeszcze inaczej i inaczej.

A wszystkie ramiona takie potężne, takie przemożne, że ucieczki przed niemi niema, być nie może.

I czuje Biedna, że musi rzucić blaski i zachwyty, by wrócić w mgły, w szarzyzny, by przyoblec na nowo ohydną larwę znękanego bolem oblicza i wstrętną szatę wędrowną, plugawą brudem życiowej fali.

A Geniusz Przypomnienia walki z Potworem Rzeczywistości rozpocząć, bronić Nieszczęsnej nie może, bo broń ich inna, jak inne królestwo... i niema dla nich wspólnego walki terenu.

Za zbliżeniem się Rzeczywistości rozsnuwają się lekko tęczowe kontury Przypomnienia, by znów zespoić się w dali błękitnej. I oddala się coraz bardziej ta słodka Wróżka od Nieszczęsnej.... jeszcze chwila, a zapadnie w łonie tej rzeki, co niegdyś cud Jej życia widziała...

Jęk rozpaczy wyrywa się z piersi Opuszczonej.

— O, wróć Ty Niebiańska, ja się już z Tobą rozstać nie mogę, nie mogę wrócić w ramiona tego polipa, co pije już lat tyle moją krew serdeczną! O weź mnie Ty jasna, dobra Wróżko, w Twe słodkie ramiona. Pragnę wejść w Twoje światy, choćby za cenę życia, za doczesności cenę!

Na to rozpaczne wezwanie słodką twarz Przypomnienia rozświetla dobroć nieziemska, litość anielska. I dobra Wróżka znowu sunie po falach ku tej, co jej opieki wzywa, w jej ramionach szuka tak ufnie ucieczki. I bierze Ją czule w swe miękkie ramiona, teraz już nie jak gościa, ale jak swoją niepodzielną własność, bierze, by Jej już więcej Życiu nie oddać!

Rozbłękitnia i złoci na nowo przed Jej oczyma cudowne obrazy minionego szczęścia, minionych snów i rojeń. Tuli Ją do łona, jak swe dziecię ukochane i już

nie wydziela Jej, jak wprzódy małych okruchów szczęścia, tak marnych, by je żyjący człowiek mógł przenieść! Nie, teraz już spiewa pełną piersią pieśń przepotężną, dźwięczną, jak stref niebiańskich harmonie, pieśń nad pieśniami, pieśń nieskończonej wieczności, pieśń, która Jej przedziemski byt przypomina, ten byt, o którym przyobleczona w ciało zapomniała, a ku któremu teraz znów cudna Wróżka Ją wiedzie. A każdą strofę swej przepięknej pieśni kończy pełnym obietnic refrenem:

— Wejdź, Dziecię, bez trwogi do mego jasnego wieczności królestwa!... Wrota doń stanowi ta rzeka, co Cię niegdyś szczęściem kołysała!...

A Ona zasłuchana i radosna w objęciach Przypomnienia sny szczęścia rojąc, w nurtach rzeki tonie.

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

Nazajutrz dzienniki głoszą światu:

Opodal miasta X. nieznana w tej okolicy kobieta rzuciła się w zamiarze samobójczym w nurty rzeki Y. Pomimo energicznego ratunku nieszczęściu nie udało się zapobiec.

— — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — —

— Czy naprawdę nieszczęściu?!....

W PROCH...

Stało się, co się stać musiało!... To było do przewidzenia, to całkiem naturalne!...

...Cha, cha, cha!... Jakiś szatańsko zły a szatańsko bolesny śmiech rozszarpuje moje jestestwo, przeistacza moją twarz człowieka w dziką larwę piekielnej ironii na myśl o tem samem tylko, o tem jednem, jedynem, wyłącznem — że to było takie do przewidzenia — takie naturalne!...

Powiatowa
w SANOKU
Biblioteka Publiczna

Gdyby o tem kto wiedział — o czem nikt wiedzieć nie może na świecie — a nawet poza światem... gdyby sam Bóg mi powiedział: „Adamie, to się stało!"... to zadarłbym z Bogiem, Bogu bym zaprzeczył — jak przeczę własnej duszy, własnej władzy pamięci, gdy nie chcą milczeć, gdy o tem z krzykiem wołają bezustanku...

— Ja, za ten krzyk rozgłośny o krzywdzie, za ten bezsilny protest anioła ściągniętego w kałużę, za ten jęk odartej ze skarbów, krwawiącej pod ranami, bez możności skonania, ofiary—znienawidziłem własną moją duszę, jak znienawidziłem własny mózg za jego władzę pamięci!...

Ach, z jakąż rozkoszą — z jakąż piekielną rozkoszą wydarłbym własny mózg z czaszki... wyprułbym każdy jego nerw myślowy!...

Doznaję dzikiej żądzy, dzikiej potrzeby pastwienia się nad kimś — lub nad sobą samym... spełnienia całego szeregu zbrodni, dzikiego okrucieństwa—by już całkiem spodleć, by utopić w krwi, krzyku i jęku —swoim, czy cudzym — pamięć tej jednej, tej świętokradzkiej zbrodni nad własną duszą, nad zbezczeszczoną w niej duszą ludzkości całej! —

A jednak — powtarzam od tej chwili po milion razy za każdym razem, na nowo myślą tą rozdzierając własne me rany:

Ktokolwiek dowiedziałby się o tem, co zaszło, powtórzyłby na pewne te najstraszniejsze dla mnie w swej prostej logice słowa:

— Stało się, co się stać musiało, prędzej lub później; to całkiem naturalne, to było do przewidzenia!

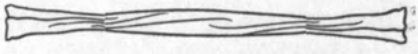

Bez uczuć, które bolą..

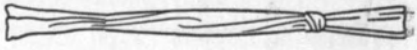

Godzina 6-ta wieczór. — Na dworcu w Tarnowie ruch, zgiełk, krzyk, nawoływania pasażerów, gorączkowy pospiech posługaczy.

Rozlega się świst lokomotywy, żelazny przewoźnik oczerniony sadzą, błyska coraz wyraźniej, coraz bliżej swemi czerwonemi ślepiami, dysze coraz wolniej, coraz leniwiej, jakby wysilony zmęczeniem — wreszcie staje i jak przejedzony aligator — z dziesiątek swych paszcz-wagonów wyrzuca pochłonięte po drodze zdobycze: ludzi i pakunki.

Z wagonu drugiej klasy wyskakuje młody mężczyzna, wysmukły blondyn, z pewnym śladem zblazowania na twarzy.

Wyraz ten jednak w tej chwili zacierają przelotne błyski temperamentu, jak u człowieka, który działa, który ma przed sobą jakiś blizki cel — mały może, chwilowy — ale ma.

Zapewne nikt go nie czeka i on nikogo, bo nie rozglądając się wcale, prosto, krokiem pewnym, z wyraźną obojętnością przechodzi przez peron. Ta obojętność na otoczenie jest tak wyraźnie zamarkowaną, tak widoczną, że prawie — wydaje się sztuczną, robioną.

— — Po krótkiej chwili, z przedziału dla pań wychyla się sylwetka ciemno ubranej kobiety. Również ciemna czapeczka podróżna, nizko na czoło spuszczona, z suto udrapowaną, w modnych fałdach opadającą, gęstą iluzyą, przysłania prawie zupełnie jej twarz.

W spokojnym na pozór ruchu, gdy zstępuje ze stopni wagonu, przebija jakaś nieuchwytna nerwowość, coś — jakby siłą woli hamowany niepokój. Rzuca szybkie, ukradkowe — a może tylko przypadkowe spojrzenie, w stronę wychodzącego właśnie głównem wyjściem mężczyzny, — a potem, powoli, jakby chcąc zyskać na czasie — lub komuś czas pozostawić — zmierza do wyjścia bocznego.

Przy trotoarze, trochę zdala od jasno oświetlonej stacyi, stoi fiaker. Do tego fiakra kobieta kieruje swe kroki. Drzwiczki otwierają się z wewnątrz i czyjaś dłoń pomaga jej wsiąść do wnętrza.

Dyspozycya woźnicy widać już wydana, bo w tej chwili fiaker rusza z miejsca.

— — Jasna głowa mężczyzny pochyla się nad dłonią kobiety w powitalnym pocałunku. Nareszcie — mówi półszeptem.

Nareszcie — z westchnieniem uspokojenia, zdenerwowanym głosem powtarza kobieta.

— — A więc to schadzka.

Młody mężczyzna, kobieta młoda — więc schadzka miłosna.

Jakżeż nieprzepartą jest potęga miłości! Dużo przeszkód życiowych dzieli zapewne tych dwoje... Niebezpieczeństwo odkrycia fatalne miałoby dla nich następstwa; — widać to z ostrożności ich postępowania. — Kobieta jechała wprost tym pociągiem, mężczyzna przyłączył się dopiero w drodze — pewnie, aby nie widziano ich razem, gdy wyjeżdzali z miejsca zamieszkania — a i potem, aż do tej chwili, jechali w osobnych przedziałach, jakby zupełnie się nie znając.

A jednak, mimo wszystko, co ich dzieli, — na przekór światu i jego konwenansom — są wreszcie tu — są razem. — Potęga miłości!...

I w tem: „nareszcie“ mężczyzny była zapewne cała jego dusza stęskniona, lecąca na skrzydłach pragnień i wyobraźni ku tej chwili wyśnionej i wywalczonej — chwili jedynej, co czasem za życie starczy...

....Tylko — szept oddać niezdolny brzmienia entuzyazmu, rozpierającego duszę — i szept pewnie winien, że się nie rozwidniło — nie rozsłoneczniło od te-

go wyrazu.... że fala powietrza zadrgała drewniano — banalnie....

I zapewne tylko chwilowa reakcya po przebyłych niepokojach możliwości odkrycia sprawiła, że i w głosie kobiety nie zabrzmiało nic prócz zadowolenia, że wreszcie w pudle dorożki czuje się bezpieczną przed spojrzeniami i domysłami ludzi.

. . . . . .

Już powóz dowiózł ich na miejsce — już są w zacisznym pokoiku hotelu krakowskiego. Zdejmują okrycia, on jest jej przy tem uprzejmie pomocnym.

.....A teraz.....

Myśl ta przebiegła równocześnie ich głowy, gdy z pozorną swobodą sadowią się w wygodnych fotelikach eleganckiego numeru.

....Co teraz.?.. Myśl ta rozgaszcza się w ich mózgach — jest jedną, jedyną, jaką mają... powoli — sprowadza za sobą swój dwór — swoje siostrzyce — myśli pokrewne.

Co teraz.?.. A zresztą mam czas, przeczekam.... on mężczyzna niech aranżuje.... myśli ona z pewną przymieszką złośliwości. I budzi się w niej bierna ciekawość widza na nieznanej premierze.

....A teraz.... co teraz? — myśli on i doznaje przykrego uczucia człowieka, który wie, że coś zrobić musi, powinien — ale mu się tak nie chce — tak strasznie nie chce.....

Kurnikówny Zofii

I znowu myśli ich zbiegają się w identycznem, co do treści, choć trochę różnem co do formy, pytaniu: Po co ja tu właściwie jechałam? — myśli ona — Po jakiego licha mi to było? — myśli on.

I oboje poczynają odtwarzać antecedensa chwili obecnej.

Aha — więc to jest moje wkroczenie w życie — myśli ona z lekkim, niedostrzegalnym uśmieszkiem autoironii.

I przed oczyma jej wyobraźni rozpoczyna się groteskowy taniec śmiesznych, małych, szyderczych chochlików. Otaczają ją kołem i jak w baśni fantastycznej, co chwila któryś z nich z koła wyskoczy, rzuca słowo lub dwa i znowu w pociesznych grymasach z kołem tanecznem się łączy.

A te słowa — są słowami jej towarzysza, wypowiadanemi różnymi czasy, słowami, które sprawiły, że ona dziś tu się znajduje:

— „Niekoniecznie potrzeba uczucia — ono najczęściej bywa tylko niepotrzebnym balastem, przeżyłkiem minionej, dawno przebrzmiałej epoki. Ciekawość, nowość i żądza wrażeń może dać dwojgu ludzi bardzo wielką sumę rozkosznych przeżyć“ — powiedział raz z okazyi przeczytanej książki.

— „Życie jest hojne i bogate i może dać wiele nawet poza egzaltacyą uczucia“ — powiedział kiedyindziej — „tylko, wy kobiety nie umiecie brać, nie umiecie żyć — nie macie energii czynu“.

....A więc dobrze — Ona raz chciała wziąć, chciała raz umieć żyć....

Widziała i rozumiała tkwiącą w tych powiedzeniach okazyjność etyki mężczyzny — wiedziała, że w obecności żony swej, lub siostry, ten sam mężczyzna zwalczałby z całym zapałem podobne zdania. Ale mniejsza z tem. Jeśli mężczyzni mieć mogą taką okolicznościową etykę do każdorazowego użytku i dobrze im z tem — dlaczego i ona nie ma raz się od nich zapożyczyć?

Jej własne zasady, etyka i aspiracye dały jej dotychczas z życia tak mało!

A więc spróbuje raz bez oporu z prądem życia popłynąć — czy warto?

— — Z głową zapalną i gorącem sercem, wykarmiona czystą poezyą Mickiewiczów i Słowackich i od innych poetów brała to, co dostrajało się do przejrzystej harmonii tamtych poetów słowa i życia. Płakała łzami Adama nad utratą Maryli, cierpiała jej czystem w rozłące cierpieniem, błądziła z dwojgiem poetycznych kochanków po śnieżnych szczytach Szwajcaryi, wyczuwała idealne współczucie Shelleya dla przedzielonej od niego kratą klasztoru Emilii.

I po dzieciństwie sielskiem, anielskiem, pod czułą opieką kochającej, idealnej matki, modliła się do życia: Ty Życie hojne i w dary obfite, spraw, niech młodość moja będzie nawet chmurna, och... byle była zarazem i górna, byle te chmury — nie brudną szarugą — ale czystym, rzęsistym deszczem moje czoło czasem zwilżały i wtedy — przynajmniej wtedy, ukazywały mi za sobą jasne, głębokie, niezmierzone błękity — byle te deszcze oblewały mi i użyźniały szerokie, jasne przestrzenie, na których posiać bym mogła kwiaty piękna, ziarno do-

bra, dla siebie, dla moich najbliższych i dla tych wszystkich, z którymi i wśród których żyć mi dozwolisz.

I była pewną, że życie — twór boży, prośby jej wysłucha. Bo jeśli tyle piękna, tyle wzniosłych odczuć mieści się w księgach poetów, to jakżeż ich bezmiary rozlewać się muszą w ksiąg pierwowzorach: objawach życia i duszach ludzi!

— Wszak poeci są tylko rzecznikami ludzkości, namaszczonymi kapłanami słowa, które niewypowiedziane, lecz odczute tkwią w masach ogółu.

A jeśli tyle dobra, tyle piękna i jasności na świecie, dlaczegożby cząstka jego i jej istnienie nie miało być — choćby drobnym, małym poematem życia?

— — — A życie?.... O, życie dało jej swe dary:

Dało jej cztery pokoje, umeblowane nie gorzej jak u państwa X i Z., — dało jej zabezpieczony byt materyalny — dobrobyt; codziennie mogła jadać 5 posiłków i chodzić w całych a nawet modnych sukniach— a wreszcie osiedliło ją w galicyjskiem mieściem prowincyonalnem!

Czegoż luba więcej chcesz?...

A potem? Potem, gdzie się zwróciła, — w otoczeniu najbliższem — i w otoczeniu dalszem — spotykała albo niezrozumienie i bezduszność, albo złą wolę.

Odjęto możność wypowiedzenia się szczerego, impulsywnego jej wrażliwej duszy — jej energii życiowej, możność wyładowania się, zużycia sił w jakiejkolwiek działalności.

Za szczerość, uczucie, płacono jej obłudą, fałszem, obmową.

Wszędzie spotykała ją nieufność, zgorszenie, bo słowa jej były zbyt małe, różniły się, nie w treści, ale w formie, od stereotypowego tekstu katechizmu — bo nie patrzyła nieustannie na aptekarską czułą wagę prowincyonalnego konwenansu, bo ośmielała się wypowiadać swoje zdanie nieraz wbrew ówczesnemu pędowi ogółu, co tam się skłaniał, gdzie go wiódł imponujący mu danej chwili baran, bo nie umiała na równi z innymi rzucać kamieniem na obalone w błoto wczorajsze bożyszcza.

I było jej coraz ciaśniej, coraz duszniej między ludźmi i nieraz zrywał się w jej wnętrzu krzyk rozpaczny:

Gdzie dusza tych ludzi? Czy oni ją mieli kiedykolwiek, czy uczuli choć raz, choć raz w życiu jej drgnienie — czy oni kiedy przemyśleli otchłanie i szczyty myśli, czy przeżyli choć raz serdecznie całą duszą rozpierające pragnienie i czy nigdy zapatrzeni w niebo ideału nie zranili swej stopy o szarą, przyziemną grudę?!...

A jeśli w duszach i mózgach ludzkich nie masz nic więcej po nad zwykłą, powszednią treść zjadaczy chleba, to skąd to słońce, te blaski, którymi lśniło, tęczowo jaśniało mi słowo pisane?...

Wszak one są tylko odblaskiem rzeczywistości, a gdzie jest odblask, tam i blask być musi.

I znowu — choć już przestała wierzyć w bezmiar jasności, rozlanej w ogóle dusz ludzkich, została jej wiara, że przecież, choć nieliczne jej płomyki tlą a nawet może jasnym ogniem płoną w duszach jednostek.

I takiej jednostki szukać poczęła...

I gdzie jej się zdało, że ten płomyk jaśnieje, zwracała nadzieją ożywione spojrzenie... Lecz — zblizka — światło to okazywało się zwykle promieniem słońca odbitym w kałuży. A co gorsza, przekonywała się, że po to jej tem światłem błyśnięto, ponieważ sądzono, że i ona swoje światełko w tej samej kałuży zanurzyć pragnie. I to drugie doświadczenie było jej jeszcze od pierwszego boleśniejszem...

Lecz mary jej — ideały przeżyły wiarę w ich urzeczywistnienie i nie pozwoliły jej na kompromis z otoczeniem, składającem się bądź z manekinów, których dewizą nie było: godzi się lub nie — ale wypada lub nie wypada — lub też z frantów z wygodną moralnością: wszystko można, byle ostrożnie, byle nikt nie wiedział.

Z biegiem czasu więc, powoli, coraz bardziej odsuwała się od świata, od tego życia rzeczywistego, które nic jej nie chciało dać z tego, czego żądała — a poczęła natomiast tworzyć świat nowy — świat wyobraźni. — Gdy atmosfera życia stawała się zbyt ciężka, zbyt duszna, gdy — mimo jej woli mętna fala nizkich plotek, nędznej obmowy, płaskich, małych walk o lilipucie korzyści, lilipucie interesy, podpływała aż pod jej stopy, wtedy chroniła się przed nią na niedostępne szczyty własnej wyobraźni... Brała pióro do ręki i papierowi powierzała swe myśli, za pomocą tego biernego wprawdzie, lecz pewnego pomocnika utrwalała urocze postacie swoich snów — marzeń, stwarzała ludzi takich,

jakimi ich niegdyś widzieć i poznać — wśród jakich żyć pragnęła.

I z nimi żyła, im wypowiadała swe wstręty, swe pogardy, swe ukochania i zachwyty, swoje bole i zawody.

Ale wśród tego sztucznego snu na jawie mijały lata — życie mijało — a w niem nie działo się nic — zabijające, gorsze od klęsk i bolów, jedno wielkie nic.

A człowiek nie jest marą, by towarzystwo mar, choćby przez niego samego wyśnionych, przez niego samego stworzonych, zupełnie wystarczać mu mogło.

To też nieraz odrzucała pióro, rozdzierała martwy papier i w rozpacznym szale: — Żyć, żyć — wołała — ja chcę żyć! Chcę, aby się coś działo, chcę brać udział w tem działaniu. — Jestem, więc mam prawo do życia, mam ciało i krew, moje serce i mózg, ja — cała ja, mam prawo do zupełnego życia zupełnej istoty ludzkiej.

— I to pragnienie życia, ta z żywiołową siłą budząca się w niej chęć przełamania za jakąkolwiekbądź cenę ciasnego koła codzienności sprawiły, że odważyła się na dzisiejszą awanturniczą wyprawę.

Z mężczyzną, dzielącym z nią to romantyczne sam na sam, nie wiąże jej ani miłość, ani nawet żaden żywszy, określony popęd, czy pragnienie.... Ot, poprostu jest jej sympatycznym tylko a stanął na drodze jej życia właśnie w jego przełomowej chwili — i słowa jego, wzywające do życia a choćby do użycia, padły właśnie na chwilę takiego zmagania się niewyładowanych, latami tłumionych energii ciała i ducha.

I on nie grał z nią komedyi uczucia. Ona wie, że on jej również nie kocha — ale wie także, że i jemu duszno, że i jego ciasnota życia nęka i przygniata. — A wreszcie—wreszcie to jest człowiek— człowiek żywy a nie mara jej wyobraźni.

Tyle razy wyśmiewano jej romantyczne mrzonki, więc chce wiedzieć raz, raz jeden nareszcie, co jej człowiek dać może, co można przeżyć bez idealnych zachcianek.

I rzuca spojrzenie na swego towarzysza...

On pali z flegmą papierosa, (jest dobrze wychowany, więc prosił przedtem o pozwolenie, naturalnie!!!) i w zadumie wpatruje się w ulatające fioletowe dymki. Widać, że i jego myśli daleko powędrowały.

Punktem wyjścia, jakby stacyą centralną było mu znane nam już:

— Po kiego licha mi to było?...

— Po jakiego? — Już wie...

Przeżył wiele i kochał wiele... Kochał... i szarpał się wewnętrznie. Życie kipiało w nim i wrzało, parło go do szumu, ruchu, szalonych uniesień, nadzwyczajnych przeżyć.

A — że minęły już czasy, że młódź kipiątek i nadmiar życia wyzbywała w dzikich harcach z Tatarami i wracała uspokojona do domowych pieleszy, kiedy zręczny, jak najznakomitszy felczer — janczar lub tatar krzywą szabelką niby lancecikiem upuścił jej nadmiar wigoru z żył, — więc on całą moc swych uniesień i porywów, cały żar swych pragnień włożył w miłość do kobiety.

Szalał i kochał — kochał i cierpiał, bo kobieta, która przepełniała mu serce i mózg, krew i zmysły, nie odpłaciła mu równie potężnem uczuciem.

Wzięła go jak zabawkę i — jak zabawkę porzuciła dla innej, nowszej zabawki.

Wtedy przeklął, potępił tę kobietę. — W zapamiętałości swego bolu nie chciał zrozumieć, że ona miała prawo uczynić, co uczyniła, że gdy, poza uczuciem nie było między nimi żadnych węzłów, ona miała prawo powiedzieć mu: vale — gdy w jej sercu uczucia zabrakło, że i on nie inaczejby postąpił, gdyby on pierwszy przestał kochać.

Nie chciał rozumieć, bo poco mu logika, poco mu jakieś prawa, kiedy on cierpiał, kiedy dusza mu się rwała z nadmiernego bolu. Znał tylko jedno prawo — prawo swego cierpienia.

I łamał się z tym bolem, borykał się z nim jak zwierz raniony i zmódz go nie mógł — nie mógł precz odrzucić od siebie.

Lecz u człowieka wszystko ma granice — moc ciała i moc ducha zarówno jak ich słabość. Człowiek nie może doznać rozkoszy bogów, ale nie może też cierpieć jak bogowie — ciągle jednakowo — nieograniczenie.

Prometeusza mógł Jowisz skazać na wiecznotrwałą mękę, bo Prometeusz był Tytanem; cierpienie Prometeusza-człowieka byłoby chwilowe, przerywane, bo omdlenie ciała kres by tym mękom ustawicznym kładło — do miary człowieczej ją sprowadzając.

Tak samo i duch ludzki.

Gdy cierpienie jest zbyt intenzywne, duch, jak ciało, popada w omdlenie apatyi.

— — I duch mężczyzny omdlał w swym bolu i przyszła chwila, gdy mu nie było ani dobrze, ani źle, gdy już niczego nie pożądał, niczego nie pragnął, do niczego nie dążył.

Dusza jego straciła sprężystość, swe odczuwanie nowych wrażeń, kiełkowania nowych uczuć.

A on sądził, że ten przełom to kres, to słup graniczny oddzielający go na zawsze od jego przeszłości. I zdało mu się, że tamta ukochana już dla niego nic nie znaczy, jakby nie była, że nawet jej widmo przed nim nigdy się nie zjawi.

I powiedział sobie: dobrze jest tak, jak jest. Po co uczuć, które tak bolą, po co kłaść w cokolwiek swą duszę? — I bez jej współudziału wiele przeżyć można.

Można brać, co się wziąć da a czego wziąć nie można, to pal sześć. Dusza o tem nie wie, więc boleć nie będzie.

Ot i teraz... Udało się zjechać z tą kobietką, bardzo ładnie. Nie gonił za tem zbytnio, nie ubijał się, tak się to jakoś złożyło, jest, jest nowość, rozrywka — a więc bawimy się.

Jadąc tu, nie układał z góry żadnych planów, nie postanawiał: to będzie, lub to być musi — nie, wcale nie — będzie, co będzie — ot tak sobie — pour passer le temps.

Ożywił się nawet trochę tym projektem i rad był, że ona nań przystała.

Ta myśl przypomina mu sytuacyę.

W każdym razie winien jej pewną wdzięczność za przyjęcie jego propozycyi, za trud, jaki sobie zadała, by ją urzeczywistnić, więc trzebaby jej coś przyjemnego powiedzieć, przyzwoitość nakazuje okazać jej jakieś zajęcie się jej osobą.

Tylko — tak mu się jakoś dziwnie nie chce. Całe jego ożywienie pozostało gdzieś po drodze, poza ścianami tego nudnego pokoiku, a tu rozsiadła się tylko jakaś niezwyciężona apatya.

— — Ale trudno, trzeba. No, dobrze, trzeba, ale co? — A no, zacząćby potrzeba od jakichś słów... Ale od jakich?... Szuka w myśli... — Lecz mózg jego staje się nagle taki jakiś jałowy, taki pusty, jak próżny garnek...

— Kretyn jestem, czy co — myśli już z pasyą, ale myśl się nie zjawia....

Ha, no, to zacznijmy inaczej — może to nawet lepiej....

...Bierze jej rękę i chce podnieść do ust pieszczotliwym ruchem.

Lecz ona wcześniej, niż on, przebudziła się z zadumy i poczęła obserwować swego towarzysza.

Początkowo była tylko ciekawość w jej spojrzeniu, lecz gdy milczenie się przeciągało, ciekawość ta stopniowo przechodziła w chłodną urazę:

— Cóż to, czy nie jestem warta ani jednego słowa, ani jednego spojrzenia?

— No, jeśli już nic więcej, to w każdym razie mógłby być grzeczniejszy.

Pod wpływem tej urazy, gdy on bierze jej rękę, mimowoli prawie robi ruch, jakby wzdragający.

On podchwytuje ten ruch i teraz znów jego opanowuje uczucie urazy:

— Czy mi nawet ręki Pani pocałować nie wolno— mówi rozdrażniony — wszak prawa tego nie odmawia Pani światu całemu — tylko ja mam stanowić wyjątek? — I upuszcza chłodno jej rękę.

Ona chciałaby mu powiedzieć, że nie miała zamiaru go dotknąć, że przecież go lubi, wiecej lubi od innych, ale — nie może słowa wypowiedzieć.

Gdyby nie ta wyjątkowa sytuacya, — gdyby to było w normalnych warunkach, — u niej w domu, czy gdziekolwiek, gdzie mieliby prawo być, bez żadnej dwuznaczności — powiedziałaby mu to napewne, z całą swobodą. Nieraz już przecież mówiła mu słowa dobre, przyjazne, bo wiedziała o jego rozterce duchowej a żal jej było każdego bolu, znając z własnego doświadczenia jego ostrze zatrute.

Ale teraz? — Cóż może powiedzieć temu chłodnemu mężczyźnie? Czyż każde serdeczniejsze słowo nie wyglądałoby na chęć wyprowadzenia go z dotychczasowej rezerwy, na zmierzanie do jakichś spodziewanych, wyczekiwanych czułości?

Rumieniec upokorzenia oblewa jej czoło. — Naturalnie, że on tak myśleć musi. Przecież nie uwierzy, że ona, aż do tej chwili, nie zdawała sobie z tego sprawy, co taka schadzka wywołać może, że w ogóle nie przedstawiała sobie nic w swem gorączkowem pożądaniu, wyjścia z martwoty, bezduszności codziennego swego życia. Naturalnie, że nie uwierzy, że ona, jak naiwne dziecko brała na seryo jego zapewnienie, że wszystko

będzie tak, jak ona zechce, że on niczego jej nie narzuci.

Co on o niej myśleć musi?... Palące poczucie wstydu ogarnia jej całą istotę. Pod jego wpływem odsuwa się od niego i milczy. . . . .

On, urażony, milczy także — i staje się coraz duszniej, coraz nieznośniej. . . . .

Poprzednie milczenie nie ciężyło im, bo myśli ich odbiegły daleko, były zajęte. Ale teraz nie myślą o niczem, niczego nie wspominają, przeciwnie czują wzajemną obecność a nie mogą się do siebie odezwać. I nawzajem smagają się swem milczeniem jak najzjadliwszem szyderstwem; kładzie się ono między nich, jak ponury, milczący, zły pies nieprzyjazny.

— Mężczyzna staje się coraz sztywniejszy, coraz chłodniejszy, kobietę ogarnia szalone zdenerwowanie.

Chciałaby przyskoczyć do tego mężczyzny, nieruchomego jak kamienna bryła, trząść nim silnie, potężnie, żeby się obudził, żeby dał znak życia. Niechby już jej mówił, co chce — najgorsze impertynencye, ale niech mówi, niech żyje, niech nie będzie ciepłym trupem.

Jednak im szaleniej grają jej nerwy, tem większy spokój usiłuje okazać na zewnątrz.

On nie może wiedzieć, co się z nią dzieje. Jakby on to sobie wytłómaczył?! I nowa fala upokorzenia oblewa jej twarz czerwonym płomieniem.

Ale przychodzi chwila, że spokój ten przewyższa jej siły; zrywa się więc z fotelu i zaczyna gorączkowo chodzić po pokoju, jak ptak uwięziony w klatce:

— Och żeby stąd wyjść, żeby stąd wyjść, żeby to już raz się skończyło. . . . . .

Ale pójść teraz, gdzie?

Patrzy na zegarek. Zaledwie pół do ósmej, a dopiero o 3-ciej rano on ma pojechać do Krakowa a ona niby nocnym pociągiem przyjedzie do krewnych.

Tyle godzin tej męki . . . nie, nie wytrzyma. — Pojedzie zaraz; krewnym wytłómaczy, że przyjechała teraz i tylko coś ją w mieście zatrzymało. . . . .

Ale, . . . wszak oni oboje umówili się pozostać razem do trzeciej. . . . Pójść teraz, to przyznać się do zawodu, okazać, ze się spodziewalo czegoś innego . . . nie . . . za nic . . . zostanie . . . choćby się jej nerwy miały zszarpać na strzępy — zostanie. . . .

W tej chwili on wstaje i zadzwoniwszy, każe kelnerowi przynieść kolacyę.

Po chwili zjawia się kelner, ustawia zamówione potrawy i wychodzi.

— Pani zapewne głodna być musi —zwraca się on do niej z pozorną swobodą. — I mnie podróż dodała apetytu.

Niech pani pozwoli — i podsuwa jej talerz, a następnie nalewa wina do kieliszków.

Ona jest mu prawie wdzięczną, że w ten prozaiczny sposób przerwał nieznośnie naprężoną sytuacyę.

Bez żadnych więc wzdragań, z uczuciem ulgi i odzyskanej swobody, siada do stołu, mówiąc już wesoło:

— Dziękuję Panu, istotnie zbyt syta nie jestem a i pić mi się chce. A podnosząc kieliszek, dodaje: Za nasze zdrowie!

Trącają się kieliszkami, w lepszej już komitywie jedzą, zamieniając od czasu do czasu jakieś zdanie potoczne, banalne, jakąś uwagę o kuchni restauracyjnej, o ulubionych potrawach, napojach. — I jako tako mija im godzina.

Ale — wiecznie jeść także nie można, upić się też przecie nie mają zamiaru, więc choć od czasu do czasu napełniają kieliszki, za jakieś kilko godzinne zajęcie wystarczyć im to nie może.

W każdym razie lody poprzedniej sytuacyi pękły, naprężenie znikło, oboje poweseleli — czują się swobodniejsi.

Wino, które popijali dość często, prawie bezwiednie, ot tak, aby sobie nadać jakiś swobodniejszy pozór, aby zapełnić luki w rwiącej się co chwilę, skrępowanej rozmowie — zrobiło także swoje, dodało im humoru, animuszu, krew zaczyna szybciej krążyć i napędza do mózgu jakieś ruchliwsze, weselsze myśli.

Mężczyzna ożywił się wewnętrznie, wyszedł z poprzedniego odrętwienia i myśli z pewnem burszowskiem zacięciem:

Cóż u licha, czyż jestem studentem na pierwszej schadzce miłosnej?.... Ona wreszcie gotowa pomyśleć, że jestem skończonym niedołęgą... Być sam na sam z kobietą w hotelu i tak... że wstyd naprawdę.... no i zawód dla niej — bo ostatecznie kobietka, puszczając się na tę awanturkę.....

Pod wpływem tych myśli przysuwa się do niej, bierze obie jej ręce i powoli — powoli przyciąga do siebie, patrząc napół żartobliwie, napół z wyrazem pie-

szczoty w jej pod wpływem wina zarumienioną i ożywioną twarzyczkę.

Lecz — nagle — w jej pozycyi, czy ruchu jakimś, czy spojrzeniu, spostrzega coś nieuchwytnego — coś, co mu silnie, potężnie przypomina tamtą — nienawistną a jednak jedynie ukochaną, tamtą przeklętą a na wieki błogosławioną, tamtą, której pamięć męką duszy własnej chciał zabić a której wspomnienia nie dały sobie wydrzeć, chyba z tą duszą razem.

I z dziwną, dotykalną prawie plastycznością widzi przed oczyma tamte ukochane usta, tamte oczy ukochane, tamto ciało, co tyle razy drżało w jego miłosnej pieszczocie.

I chwyta go taki ból, wspomnienia oblegają go z taką mocą, — że nie może — nie może się opanować.

Wypuszcza ze swych dłoni ręce kobiety tak gwałtownie, że równa się to prawie odrzuceniu ich, odepchnięciu i — teraz on z kolei, jak zwierzę ranione w swej norze, zaczyna przebiegać pokój w najwyższym rozstroju nerwowym.

Ona natomiast pojmuje.

Jest dobra, jest mu życzliwą i rozumie całą psychologię jego zachowania...

Kiedyindziej usiłowałaby ukoić tę świeżo rozkrwawioną ranę, przynieść mu ulgę słowem przyjaznem — wywołałaby zwierzenia z jego strony, dałaby mu mówić szczerze — długo — tak długo, aż ze słowami spłynąłby cały ten ogrom wezbranego w jego piersi żalu i bolu serdecznego.

Ale teraz bierze u niej górę dotkliwa obraza kobiety odepchniętej przez mężczyznę, pominiętej i wzgardzonej dla innej.

A nadto... gdy on ujął jej ręce, przechylił się ku niej jakby w pożądaniu — wrażliwość jej, wzmożona trunkiem i kilkogodzinnem rozgorączkowaniem, sprawiła, że przez jej ciało przebiegły dreszcze, że ogarnęło ją na chwilę owo zmysłowe — rozkoszne poczucie niemocy. Było to zupełnie bezwolne, nieprzewidziane — krótkie — krótsze niż błyskawica, krótsze niż drgnienie powiek — ale było! — I wtedy — wtedy właśnie on odrzucił jej ręce — rzucił ją, jak rzecz wstrętną — niemiłą.

Tym jednym ruchem zdeptał ją i upokorzył, wyzuł z godności kobiecej.

I teraz czuje się skalaną, zelżoną, skrzywdzoną przez tego mężczyznę.

Czemże ona jest? Jak nizko upadła...

Ona dla niego nie jest niczem, jest tak obojętną, jak ta lampa, ten stół i to krzesło — a mimo tego on wzbudził w niej drgnienie rozkoszy! — O, to oszaleć można ze wstydu... A — gdyby był chciał... możeby w tej chwili całował jej twarz, jej usta, jej oczy i ona może nie broniłaby mu tego... Tak, gdyby był chciał— ale on nie chciał — nie, nie chciał, on, nie chciał !...

I ona miałaby go pytać o jego uczucia i myśli?— Czy on dba o jej myśli, o jej uczucia, czy pytał o nie kiedy, czy i dziś, teraz, nie zanurza się w swych egoistycznych bolach i żalach, bez względu na to, że ona może się tem czuć dotniętą?

Wszak ona nie broni mu kochać się w tamtej, chwytać jej cień ulotny, nie prosi go o miłość dla siebie, ale — pocóż ją tu sprowadzał, po co skłonił do tego sam na sam?.. Czy po to, żeby nią wzgardził, żeby ją upokorzył?

I budzi się w niej uraza tak gwałtowna prawie, jak błysk nienawiści. — Och, gdyby temu bezwzględnemu egoiście oddać pięknem za nadobne, gdyby jego z kolei upokorzyć, poniżyć, odepchnąć!

Nie pozwoliłaby mu teraz za nic w życiu nawet ręki swej dotknąć w pieszczocie, ale dałaby wiele za to, żeby go widzieć o swych stóp błagającego ją o to, czy o cokolwiek — błagającego w męce, w udręce — a błagającego nadaremnie!

Ale patrząc na jego zimną, jakby skrzepłą twarz, czuje, że tej satysfakcyi mieć nie będzie....

A może... jedna do tego tylko droga.... Najobojętniejsza kobieta może wziąć chwilową przewagę nad mężczyzną, pobudzając jego zmysły... Ale nie.... raczej zrzec się odwetu, niż zniżyć się do tego środka..... Wygrana w tym wypadku równałaby się najhaniebniejszej porażce... a jeszcze — gdyby się zawiodła — nie przeżyłaby chyba wstydu....

On ze swej strony, otrząsnąwszy się od mar bolesnych, czuje, że zrobił jej krzywdę, że ją obraził najboleśniej, jak mężczyzna kobietę obrazić może, ale zamiast żalu budzi się w nim gniew, złość na nią:

Sama sobie winna--monologuje w myśli.—Poco przystawała na to idyotyczne spotkanie...? Wiedziała, że jej nie kocham... A teraz ja mam robić z nią jakieś ceregie-

le, jakieś wyczyniać nastroje — grać komedyę miłości?... Nie, nie mogę i nie chce mi się... Wziął bym ją — jak się bierze kobiety — ale tak prosto z mosta... A nie, to się obejdzie.

Co ja mam z nią robić ceremonie? Czy to ona nie wiedziała, co to znaczy iść z mężczyzną do hotelu?— myśli z coraz większem uniesieniem.—Chciała, niech ma— i już prawie nie zdając sobie sprawy ze swego postępku, rzuca się ku niej w brutalnym ruchu.

Na mgnienie oka zwarły się prawie ich ciała — a w oczach zabłysła kolejno cała skala najróżnorodniejszych uczuć. W oczach mężczyzny wściekłość, szał, połączony ze zwierzęcą zmysłowością, w oczach kobiety zdumienie, przestrach, oburzenie i pogarda. I przez chwilę — nieskończenie krótką w istocie a dla ich odczucia jak wieczność długą chwilę — zmagały się ich spojrzenia.

Wreszcie w oczach mężczyzny poczucie winy, zawstydzenie wypiera poprzednie błyskawice i po chwili bez słowa jednego odstępują od siebie.

I znowu zalega długie, pełne przygnębienia milczenie. A w milczeniu tem dusze ich zbierają i rozrzucają posiew wzajemnych uraz, kolących, zjadliwych ziarn niechęci.

Wreszcie nawyknienie do konwenansów światowych, dobre wychowanie rzuca im nić przewodnią jakiego takiego wybrnięcia z sytuacyi.

Nie usiłując dłużej utrzymać erotycznej cechy swego sam na sam, nie dotykając ani jednem słowem ostatniej, najdrażliwszej sceny, zaczynają mówić ze sobą o rzeczach potocznych, o literaturze, sztuce etc. — jak

gdyby znajdowali się na najzwyklejszem zebraniu towarzyskiem.

Nieraz prowadzili takie rozmowy. Dobrzy przyjaciele — mający dla siebie wiele szczerej sympatyi — inteligentni, po kilka godzin na nich chętnie spędzali — ale dzisiaj rozmowa nie sprawia im żadnej przyjemności, mówią, bo muszą, bo takt towarzyski, jak dobry strategik, słowy temi, jak hufcem zbrojnym, zasłania ich haniebną porażkę. A słowa, nienatchnione ożywiającą je myślą, płyną niechętnie, oporne niemal jak żołnierz najemny, idący i walczący bez ideału. Mówią — nie żeby sobie istotnie coś powiedzieć, lecz byle nie zaległo znowu kłopotliwe milczenie —cisza, w którejby ich dusze posłyszały szyderczy głos własnych refleksyi.

I duszą się i męczą, jak więźniowie w ciasnej celi, a godziny rozwlekają się na wieczność, wskazówki zegarków wykonywają obrzydłe, ślimacze ruchy — niecierpliwość ich rośnie — i niechęć wzajemna rośnie i pragnienie wyzwolenia!.....

Nareszcie... wpół do 3-ciej... zgodne westchnienie ulgi z dwojga piersi...

— Pan będzie łaskaw zadzwonić, aby mi sprowadzono dorożkę—mówi ona z konwencyonalną grzecznością.

— Służę Pani — odpowiada on niemniej grzecznie, spełniając jej życzenie.

— — Za chwilę, uprzejme pożegnanie — dygi ukłon — dorożki odwożą ich w dwie przeciwne strony.

Dla męża.

Na pyszne, kwiatowe terasy uroczej willi państwa Kęckich rozpłomienione słońce południowej godziny rzuca całe snopy złotych, żarnych promieni, usiłując wcisnąć się do ich salonu na wytworny five o clock, by zapalić złote aureole na okół jasnych i ciemnych, zgrabnie ufryzowanych główek pań, oblać powodzią światła ich eleganckie, jasne toalety i jakby na przekór formom światowym, nawet z uświęconej kodeksem towarzyskim

czerni męskiego ubioru wydobyć całą stubarwną tęczę kolorowych refleksów — a wreszcie popatrzeć oko w oko w te wszystkie konwencyonalnie ułożone twarze, by zmusić je choć na chwilę do porzucenia szablonowej maski dobrego tonu — do szczerego skrzywienia, do zmrużenia powiek...

Lecz złoty psotnik doznaje niemałego zawodu... Śliczne w pomyśle ni to olbrzymie wachlarze — ni to parawaniki, porozstawiane tu i ówdzie z pełnem estetycznem wyrafinowaniem, jak barwne różane motyle, wznoszą się na smukłych podstawach, jakby na kwiatów łodygach i wstrzymują błyskotliwą inwazyę słońca, wywołując w salonie łagodny, zrównoważony ton oświetlenia.

Ta dekoracya salonu, powtarzająca się zresztą z uwzględnieniem położenia i w innych pokojach, jako świeżo przez gospodynię wprowadzona innowacya, stanowi główną oś rozmowy.

— Doprawdy, pani Melo — chrupiąc drobnymi ząbkami apetytne herbatniki, mówi do pani domu malutka pani Musia — pomysł pani jest cudowny!

Zdaje mi się, że wszyscy, jak tu jesteśmy, bierzemy udział w przedstawieniu jakiejś fantastycznej baśni... a ja sama odgrywam rolę muszki, siedzącej pod olbrzymim płatkiem zaczarowanego kwiatu.

— Dobre porównanie — wtrąca z uśmiechem p. G. — tylko takie złote muszki, jak pani, stokroć piękniej błyszczą w pełnym blasku słonecznym.... I istotnie, pani Melo — ciągnie dalej, zwracając się do gospodyni — jakkolwiek nie przeczę, że pomysł pani wytworzył tu

jakąś atmosferę spokoju — i uciszenia — quelque bienêtre tout particulier — jednak nie mogę się oprzeć zdziwieniu, że to właśnie w domu pani spotykam ten półcień, to... jakby wypowiedzenie walki słońcu i blaskom... w domu pani, którą wszyscy znamy jako fanatyczną wyznawczynię światłości...

— Nasza urocza gosposia uczyniła to niezawodnie dla dobra ogółu — aby przyćmić choć cokolwiek blask tak niebezpiecznej dla nas wszystkich królewskiej swej urody — mówi żartobliwie stary znajomy i przyjaciel domu, p. W., patrząc z życzliwem upodobaniem na Melę, która, stojąc w lekko zaróżowionem świetle motyla z abażouru, słuchała z uprzejmym uśmiechem krzyżujących się uwag swych gości.

Na tle tego różowego światła rysujący się czysty profil jej twarzy, wysmukła jej postać o nieskazitelnej linii, którą wspaniale zarysowywała opływająca ją miękka tkanina kremowej sukni, czyniły Melę podobną do klasycznego posągu z różowego marmuru.

Różowe refleksy podnosiły jeszcze promienną jasność jej znanej z piękności cery, czarne, żywe, a jednak jakby dalekiem wspomnieniem łzy błyszczące oko, delikatne choć śmiałym łukiem zakreślone brwi i obfita masa lśniących, złocistych włosów siłą kontrastu dopełniały tej wyjątkowej urody.

Taka zupełna piękność wznosi się ponad poziom osobistych upodobań i sympatyi, musi być zwycięską— przez wszystkich uznaną. To też pełne estetyczej satysfakcyi spojrzenia obecnych aprobują prawdę, zawartą w żartobliwej uwadze pana W.

A wśród tych wszystkich oczu, patrzących na Melę z mimowolnym zachwytem, wyróżniają się jedne, w których uwielbienie nieledwie bałwochwalcze i bezmierna tkliwość mieszają się z jakąś dumną zarozumiałością — pychą egoistyczną człowieka, będącego w wyłącznem posiadaniu klejnotu, budzącego ogólny podziw.

To oczy męża pięknej pani, pana Stanisława Kęckiego.

I ze wszystkich skierowanych na nią spojrzeń Mela wyczuwa to jedno, — w całej skali jego uczuć... I — rzecz dziwna — na twarzy jej nie błyska radość, ni zadowolenie... przeciwnie, na mgnienie oka, na błyskawicznie krótką, pomiędzy dwoma wesołymi uśmiechami zawartą chwilę, przemyka po niej dziwnie bolesny skurcz, jakby siłą woli powstrzymanego spazmu.

Lecz w tejże chwili mąż zbliża się ku niej z niemą pieszczotą w spojrzeniu i już w jej oczach niema niczego, coby nie było bezgraniczną miłością i jasną pogodą.

Rozmowa schodzi na inne tematy, rozstrzela się.

Gospodarstwo podchodzą do grupy omawiającej przykry wypadek w kole znajomych: Miła, ładniutka pani R. zachorowała niedawno na ospę a choć staraniom lekarzy udało się utrzymać ją przy życiu, jednak została okropnie zeszpecona. Jedna z obecnych pań, która widziała biedaczkę po chorobie, zapewnia, że jej wprost poznać niepodobna.

Z ust kobiet posypały się gęsto wykrzykniki współczucia i ubolewania nad biedną kobietą! Przerywa je

młody pan R., znany wielbiciel ładnych twarzyczek, uwagą, pełną męzkiego egoizmu!

— Co też panie tak nad nią biadacie! Mnie stokroć bardziej żal jej męża! Słowo daję, ja na jego miejscu palnąłbym sobie w łeb bez wahania!

To przecież straszne być przykutym na całe życie do wstrętnie wyglądającej kobiety i jeszcze może ze współczucia silić się na objawy czułości!

— Ma pan zupełną słuszność — lepsza śmierć — wykrzykuje mąż p. Meli prawie mimowolnie, jakby pod nieodpornym przymusem wstrętu, jaki w nim wywołało samo to przypuszczenie podobnej sytuacyi.

Na te słowa przez twarz Meli przemyka się znowu błyskawicznie ów dziwny skurcz bolesny a w oczach zapala się momentalny błysk trwogi, czy rozpaczy.

Błysk ten i teraz gaśnie natychmiast, lecz gdy po odejściu gości Stanisław obejmuje swą śliczną żoneczkę czułym uściskiem, szepcąc jej do uszka słodkie słowa miłości i uwielbienia, ten dziwny, niewytłumaczony płomień zapala się ponownie, jak źle zgaszona iskra... I... rzecz jeszcze dziwniejsza — ta młoda, kochająca i kochana kobieta odwzajemniająca z niebywałem uniesieniem, jakby z rozpacznem zapamiętaniem, pieszczotę męża, nie czyni wcale wrażenia szczęśliwej małżonki, której tryumfalna piękność zdaje się dawać na długie lata rękojmię niezmąconego szczęścia, lecz wygląda raczej na bankruta, który w przededniu nieuniknionej ruiny korzysta skwapliwie z ostatnich, złudnych już tylko blasków fortuny.

Pan Kęcki, jako zdolny, wzięty inżynier, niewiele czasu może poświęcać swej ślicznej żoneczce. Liczne przedsiębiorstwa od rana do wieczora zatrzymują go poza domem, to też pomimo już kilkoletniego małżeństwa z gorącem, jakby w miodowych miesiącach, utęsknieniem czeka zawsze wieczora, by powrócić do domu i w szczerych, dobrych rozmowach podzielić się z ukochaną wrażeniami i zdarzeniami dnia całego.

Te codzienne, wzajemne, drobiazgowe relacye z czynności, myśli i wrażeń od szeregu lat stały im się prawidłem, niemal koniecznością ich egzystencyi. Byłyby one może nawet nieco śmieszne, dziecinne, gdyby tych dwoje mniej się kochało, gdyby mniej czuło nieprzepartą potrzebę wzajemnego zespolenia swoich istności każdem drgnieniem duszy, gdyby mniej czuło potrzebę odbicia własnych wrażeń, własnych myśli w zwierciedle odczucia kochanej istoty — potrzebę oddania jej ze swego „ja“ wszystkiego, co tylko z odrębności indywidualnej cud miłości drugiej istocie oddać może.

...Lecz — od jakiegoś czasu — relacye te ze strony Meli stały się jakieś skąpsze — ograniczyły się tylko do faktów — jakby jakaś ciężka zapora zamknęła nagle sferę jej uczuć i myśli... a dzisiaj nawet rola jej ograniczała się tylko do roli chętnego słuchacza.

Dlaczegoż nie powie temu swemu tyloletniemu powiernikowi, co działo się w tym samym nawet pokoju, w którym teraz siedzą oboje w niezmąconej jasności i pogodzie, przytuleni do siebie, zapatrzeni w siebie i tacy szczęśliwi? On rozjaśniony jej obecnością, rozmowny i ożywiony, ona z wesołym, swobodnym uśmiechem, który, jakby przyrośnięty, nie schodzi ani na chwilę z jej ślicznej twarzyczki. Jej duże oczy, wpatrzone w zasłuchaniu w męża, zdają się nie błyskać nigdy żadnym innym płomieniem, jak płomieniem zaciekawienia, nie mienić się innym wyrazem, jak wyrazem tkliwej miłości.

I jakżeby w tym nastroju wydała się dziwaczną opowieść, że dziś rano kobieta bliźniaczo do Meli podo-

bna, różniąca się od niej tylko wyrazem twarzy, na której wesoły uśmiech Meli zastąpiła dziwna tragiczna skamieniałość bólu — wyszła z salonu jednego z najznakomitszych lekarzy i wróciwszy tu, do tego samego pokoju, rzuciła się z jękiem bezbrzeżnej rozpaczy na poduszki tej samej otomany, na której teraz siedzą szczęśliwi małżonkowie?!

Przez długi, długi czas ciało tej kobiety drgało w spazmatycznych łkaniach, wstrząsały się ramiona, jakby zrzucić chciały ciężar nad siły, ręce zaciskały się kurczowo do jakiejś straszliwej walki z nienawistnym wrogiem, to znów załamywały błagalnie, jakby we wstrząsającej, rozpacznej prośbie o litość, o cofnięcie niecofnionego, okrutnego wyroku...

I trwało to długo... długo...

Gdy wreszcie kobieta wstała po tej walce, dziwnie była zmieniona... Spojrzenie jej szło w dal, jakby straciła zdolność spostrzegania rzeczy blizkich i małych — przeszło granicę, dzielącą doczesność od wieczności... Twarz jej oblókł spokój tragiczny nieodwołalnego postanowienia!

Wróg przebłagać się nie da — nie ustąpi — i w walce ona uledz musi... lecz pomimo tego — pomimo jego niezwyciężonej, bezlitosnej mocy, nie on nią, ale ona nim zawładnie — nie zwycięzca, ale zwyciężona pokieruje walką.

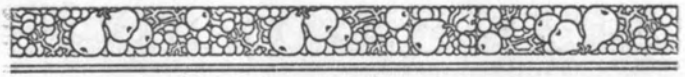

Towarzystwo z willi Szarotka w wesołej gromadce idzie skalistą roztoczą doliny Kościeliskiej.

Oczy przechodzących turystów mimowoli zwracają się ku temu wytwornemu, wesołemu gronu, lecz najwięcej spojrzeń ściąga uroda i wdzięk młodej kobiety, idącej przodem w towarzystwie znanego, sympatycznego lekarza klimatyki, Antoniego Krwawicza.

Ten i ów lepiej poinformowany objaśnia ciekawego towarzysza:

— Ta pani, to słynna piękność lwowska, żona inżyniera Kęckiego.

— Przed kilku dniami doktor Krwawicz otrzymał list następującej treści:

Kochany Antosiu!

Nieczęstą, stary Druhu, jest nasza korespondencya. Nie stoi ona w żadnej proporcyi z serdecznym związkiem naszej przyjaźni. Zbyt obaj znamy życie, aby się temu dziwić: odmienność zawodu i z niego płynący brak stycznych — odmienność środowiska, aż nadto to tłumaczą.

Niemniej jednak, gdyby tego zachodziła potrzeba, każdy z nas byłby gotów dla drugiego do każdej przysługi a nawet ofiary. Co prawda, dotychczas tak się jakoś składało, że najczęściej Ty byłeś tym, co daje, mam nadzieję jednak, że i na mnie przyjdzie kiedyś kolej rewanżu.

Tym listem jednak znowu przychodzę, jako biorący, do Twej przyjaźni.

Moja Mela popadła od niejakiego czasu w jakiś dziwny stan rozdrażnienia nerwowego, uskarża się na duszność, brak snu i apetytu. Wyobraziła sobie przy tem, że serce jej nie w porządku, a ja jakkolwiek co do tego nie podzielam jej obaw—bo i skądżeby, skoro nigdy przy żadnej konsultacyi lekarze nie stwierdzili u niej w sercu jakiejkolwiek nieprawidłowości — jednak niemniej jestem jej stanem cokolwiek zaniepokojony.

Uradziliśmy wspólnie, by jechała do Zakopanego i mam nadzieję, że Wasze cudowne powietrze w połączeniu z pięknem przyrody uspokoi skutecznie wyczer-

pane niezdrowem życiem miasta nerwy mojego ukochania.

Ja, niestety, jechać z nią nie mogę. Człowiek kręci się, jak koń w kieracie, w kole swych zajęć i zobowiązań, dlatego Tobie powierzam opiekę nad moim skarbem. (Ty wiesz, że to nie patos, że ona jest istotnie moim skarbem i być nim warta.) Otocz ją opieką podwójną: jako przyjaciel i jako lekarz, oto moja prośba — i wiem, że nie daremna.

Istotnie, gdy przejdę myślą historyę mego życia, widzę, że tobie snać przeznaczone być jego dobrym geniuszem.

Tyś mnie przywiódł do mego szczęścia, zaznajamiając mnie z Melą i Ty znowu, uzdrowiwszy ją, oddasz mi je ponownie.

Za jakich parę tygodni, gdy tylko trochę czasu dorwę, wpadnę do Was, by Melę odwiedzić i Ciebie serdecznie uściskać, Mój staruszku, co na razie tylko listownie czynię.

Twój Stanisław.

W dwa dni po tym liście otrzymał Krwawicz bilecik od pani Meli, zawiadamiający go o jej przybyciu do Zakopanego i zainstalowaniu się w willi Szarotka, z równoczesnem zaproszeniem, aby zechciał odwiedzić ją niezwłocznie jeszcze tego samego wieczora — w podwójnym charakterze, przyjaciela i lekarza, gdyż jeszcze dziś, natychmiast po przybyciu, pragnie mu się oddać w kuracyę, będąc najmocniej przekonaną, że tylko on— on jeden z lekarzy — jej cierpieniu zaradzić potrafi.

Czytając ten bilecik, dr. Antoni uśmiechnął się mimowoli:

— Jak to przecież w każdej kobiecie tkwi kapryśny dzieciak — pomyślał. — Nawet ta, tak cudownie zrównoważona Mela, umie być kapryśną... Konsultacya wieczór — ta dziecinna ufność w wyjątkową skuteczność mojej — i tylko mojej kuracyi... Nie, takiej Meli dotychczas nie znałem... ale może to właśnie rezultat niezdrowia...

Miło mu jednak było, że ten, w każdym razie pochlebny dla niego kaprys pacyentki, pozwolił mu bezwłocznie pójść powitać dawną, dobrą znajomą.

Znalazł rzeczywiście, że od czasu ostatniego z nią widzenia — więcej niż przed rokiem — Mela zeszczuplała dość znacznie a śliczna jej cera przybrała mniej jasne, mniej przejrzyste tony.

Tego ostatniego spostrzeżenia nie mógł być jednak pewnym, w obec skąpego, wieczornego oświetlenia pokoju, zwyczajnego w pensyonacie, natomiast to już zauważył napewne a z przykrością — twarz Meli była pokryta obfitą warstwą pudru... Dawniej nie pudrowała się nigdy. Postanowił też sobie skorzystać przy sposobności ze swoich praw dawnego znajomego, lekarza i przyjaciela i wytłómaczyć jej, że szkoda takiej urody i ślicznej cery psuć pudrem.

Ale na to będzie jeszcze czas — pomyślał.

Przy badaniu swej pacyentki stwierdził pewne zdenerwowanie — serce jednak było zupełnie w porządku.

Z niemałem uspokojeniem wewnętrznem i widocznem zadowoleniem powiedział to Meli.

— A jednak, doktorze, ja jestem chora na serce — odpowiedziała mu z jakąś głęboką, niesłychanie smutną stanowczością — A na jego żartobliwy uśmiech dodała:

— Rozumiem pana, śmieszną ci się wydaje moja pewność laika w obec pańskiego doktorskiego autorytetu — ale — kochany doktorze — i na twarzy jej błysnął uśmiech uroczy w swym smutnym wdzięku, jak kwiat wiednący — autorytety są na to, żeby się mylić— i ty doktorze mylisz się teraz i jestem pewną, ze przyjdzie czas, kiedy przyznasz sam, że tym razem ja lepszym byłam od ciebie dyagnostą.

— Mam wszelką nadzieję, że tak nie będzie — odparł Antoni wesoło — a z tak stanowczego twierdzenia pani, widzę tylko jedno napewne: Oto, że nerwy pani rozigrały się nie na żarty i one to budzą w jej główce podobne nieuzasadnione obawy.

— Zobaczymy — rzekła mu już tylko krótko Mela i poczęła z nim mówić o Lwowie, o swojem i jego życiu i otoczeniu, o stosunkach zakopiańskich etc.

Była miłą, swobodną, jak za dawnych, w pamięci Antoniego niezatarcie wyraźnie wyrytych czasów.

— — Od tego pierwszego widzenia minęło parę tygodni. Krwawicz widocznie bardzo szczerze pragnął spełnić życzenie przyjaciela, bo nietylko cały czas wolny od obowiązków zawodowych przepędzał w towarzystwie Meli, ale wpadał wprost na genialne pomysły, aby tego czasu zdobyć jak najwięcej. Odstąpił kilka swych pacyentów innym lekarzom klimatyki, usunął się od różnych

absorbujących go towarzyskich zobowiązań i patrzył — obserwował Melę... Bo też dostrzegł w niej zmiany — niepokojące zmiany... a wytłómaczyć ich sobie, źródła ich znaleść nie umiał...

Wiedział, że była szczęśliwą, kochającą i kochaną — — a wyczuwał od niej jakiś niewidzialny, nieuchwytny a niesłychanie głęboki smutek... Jakieś mgły przejrzyste ale niesłychanie zwarte, niesłychanie silne mgły melancholii owijały mu jej postać w astralne szaty bolesnego piękna.

— — Otaczała się nieustannie ludźmi, śmiechem wesołością; wszyscy podziwiali jej humor, dowcip, werwę niezrównaną — jego jednego to złudzić nie mogło...

On znał ją inną... a jego subtelna natura odróżniała niesłychanie wyraźnie w całem błyskotliwem scherzo jej humoru jakiś źle dostrojony dźwięk, drażniący go swoją niewytłómaczoną, tragiczną barwą tonu... I czuł, że dźwięk ten nie zaplątał się tam chwilowo, przypadkiem, lecz że to stale przewijający się motyw, który niebawem zawładnie całą instrumentacyą jej duszy.

Obawy te i przeczucia podsuwała mu nierozumująca lecz subtelna jego wrażliwość; ale rozum kontrolując te wrażenia, odsuwał je od siebie, jako błędne, pozbawione wszelkiej uzasadnionej podstawy.

Ot po prostu, to ta urojona choroba sercowa tak ją usposabia — tłómaczył sobie. Na szczęście urojona — powtarzał z zadowoleniem — więc gdy tylko uspokoimy te rozigrane nerwy, to i równowaga umysłu i prawdziwa wesołość jej wróci; wypełni się napowrót wyszczuplała jej figurka i cera się poprawi...

Wszystkie te reminiscencye i refleksye przesuwały się w umyśle doktora, gdy szedł obok Meli wzdłuż wartkich źródeł Białego Dunajca, wgłębiając się w coraz to nowe krużganki czarodziejskich skał — murów uroczej doliny.

Ta cera to doprawdy jakoś mnie niepokoi — monologował dalej, rzucając baczne spojrzenia na swą towarzyszkę. — Czasem ma ona jakieś takie dziwne, mętne tony... choć... może mnie się tylko tak zdaje... i zaklął nagle w duchu: Bogdaj to dyabli wzięli te wymysły kobiecej mody... w obec niej i lekarska wiedza kapituluje!

Właściwie — wyjąwszy owego pierwszego wieczoru, w dzień jej przyjazdu — nie widział Meli jeszcze inaczej, jak tylko w wielkim kapeluszu z czerwonej płomienistej gazy, w rodzaju dużej kapotki, ujmującej całą jej głowę i twarz w szeroką jaskrawą ramę.

— Może to ten kapelusz rzuca na jej twarz takie dziwaczne refleksy... myślał dalej—i zbierała go chętka zdjęcia teraz zaraz tej budy płomienistej z głowy, by jej się choć raz dobrze przypatrzeć... zbyć się dręczącej wątpliwości...

Popatrzał znowu na Melę prawie już gotowy spełnić swój trochę awanturniczy zamiar — ale w tej chwili rozjaśniona jej twarzyczka wydała mu się znowu tak śliczną bez zarzutu, że odrazu znowu obawy jego wydały mu się zupełnie bezpodstawne.

Antoni wiódł te wszystkie myślowe monologi zupełnie niezależnie od ożywionej rozmowy, jaką prowadził z Melą. Zajęci nią wysunęli się znacznie naprzód od

reszty towarzystwa, które z charakterystyczną zakopiańską swobodą łączyło się w większe to w mniejsze grupy, które znów dzieliły się z kolei, przyzostawały lub wysuwały się naprzód według chwilowego upodobania.

W tym cudownym, górskim świecie przyroda jest tak fantastyczna, tak do ciągłych niespodzianek, do ciągłych przeskoków skłonna, że i człowiek pod jej wpływem wyzwala się z pęt jednostajnego konwenansu, z wiecznie jednakich, kamiennych norm formalistyki, w jakie zakuwa go monotonne życie miast. Tu staje się napowrót sobą, odzyskuje swoją indywidualność.

Odmienność otoczenia wyciska też swoje piętno na stosunkach towarzyskich. W mieście, towarzystwo to zbiorowa ujednostajniona osoba o wspólnej duszy i jednolitych dążeniach — tu, towarzystwo nie przestaje być pewną sumą indywidualności o duszach własnych, indywidualności, które łączą się ze sobą tylko luźnie na mocy chwilowej duchowej federacyi, bez zatracenia swojej odrębności.

Toż na zbiorowej wycieczce naprzykład, każdy idzie do pewnego stopnia za porywem swych chwilowych odczuć o tyle, o ile to nie zrywa ogólnego związku, luźnego kontaktu z całością, polegającego na tem tylko, aby się przecie nie zgubić, aby módz odnaleźć się w pewnej chwili i w oznaczonem miejscu. Po za tem panuje swoboda zupełna. Oto ktoś zauważył jakiś niespodziany efekt świetlny — słońce zaróżowiło mu w pewien szczególny, niewidziany dotąd sposób jakąś partyę gór... przystaje więc, chłonąc w duszę to nowe objawienie piękna... czasem zwraca na nie uwagę naj-

bliżej idących — przystają i oni... dzielą się wrażeniami... ten patrzy dłużej, ów przelotnie tylko wzrokiem spocznie... a inni idą swobodnie dalej i znów nikną w innem miejscu, zainteresowani innym widokiem, innym jakimś szczegółem tego niezrównanego w bogactwie swych barw i kształtów zakątka świata.

Mela i Krwawicz idąc przodem, zajęci rozmową i własnemi myślami, niewiele zwracali uwagi na otaczające ich piękności, to też wyprzedzili znacznie resztę towarzystwa.

W pewnej chwili przystanęli, aby się z niem połączyć.

Mela, oparłszy się na poręczy małego mostku, rzuconego nad potokiem, patrzyła długo w cudowną kaskadę wód. Przejrzyście jasny, krystalicznie czysty szmaragd górskiego strumienia rozpryskiwał się na kamiennych rafach podłoża w nieprzebrany piasek świetlistych pereł. Każda z tych milionowych cząstek wodnych z osobna miała swój odrębny, różny od innych ton i blask a każdy z tych tonów i blasków był doskonale świetlany, jasny i biały. I całe oślepiające bogactwo tych pereł jaśniejących przesypywało się i rozpryskiwało ze szklanym dźwiękiem paciorków, tworząc bajecznie jasny i świetlany poemat o bieli.

Przecudownej, przebogatej w natężeniu i rozmaitości blasków bieli górskiej kaskady nic na świecie przeciwstawić niepodobna! — Białość świeżego śniegu to w obec niej tylko martwy w swej jednostajności całun, szarzeje i ubożeje przy niej blask pereł najczystszej wody... Z tysięcy ostrych załomów kamiennych, jak z tysięcy

cudownych rogów Amaltei, sypie się nieustannie coraz to nowe niezmierzone bogactwo czarodziejskich pereł o nigdzie niewidzianym blasku, a perły te, to stapiają się razem w jedną jasną, tryskającą świeżością biel, to znów w najbliższym, nieokreślenie krótkim momencie rozpryskują się na miliony mikroskopijnych, świetlistych atomów. A te srebrzyste stopienia i dyamentowe rozdziały tak są szybkie i niewyczerpane w swej ciągłości, że wzrok ludzki, nie mogąc im nadążyć, doznaje cudu olśnienia.

— Urok przedziwny tej cudownej bieli, to jak wcielenie snu o nieziemskiej czystości — jakby ujęła tryumfalnie w kształt najwyższa idea niepokalania—zauważa Antoni.

Na te słowa wzrok Meli oderwał się od świetlistych wód potoka... Obrzuciła przeciągłem spojrzeniem stojącego obok niej mężczyznę. Oczy jego, wpatrzone w wodę wyrażały takie zadowolenie estetyczne—więcej nawet— takie pobożne skupienie, na jakie zdobyć się może tylko bardzo szczery, bardzo prawdziwy lubownik piękna.

Twarz Meli uległa zmianie.

Cichy przed chwilą, rozmarzony wzrok jej błysnął ogniem powziętego postanowienia.

— Teraz jest chwila odpowiedna! —znaczyłby ten błysk przetłumaczony na słowa. Panie Tolu — przemówiła powoli — a w głosie jej poczęły się łamać jakieś nieuchwytne bolesne drgnienia kontrastujące dziwnie ze spokojnym tonem, jaki swym słowom nadać usiłowała — coby pan powiedział, gdyby tak nagle —

przed naszemi oczyma całe przeczyste, jasne piękno tych wód zostało zmącone wstrętnie brudnym, odrażającym namułem, by nigdy już, przenigdy nie odzyskać swej obecnej piękności?.. I gdyby mimo to musiało istnieć, zakażając i zohydzając swem istnieniem całą tę przecudną dolinę?...

Na subtelnej twarzy Antoniego odbiło się silnie niemiłe wrażenie.

— Dlaczego psuje pani nastrój? — zawołał z urazą nieledwie. — Tak mi było nieskończenie dobrze, że obraz wywołany przez panią sprawił mi wprost ból fizyczny!.. Czy pani nie żal blasków, które pierzchły?!

Źródło nie byłoby temu nic winne — mówiła dalej Mela, jakby nie słysząc protestu Antoniego — a jednak przeklinalibyśmy je i złorzeczyli mu, bo psułoby nastrój...

Antoni popatrzył zdziwiony na Melę.

— Pani Melo — co pani? — Niepodobna, aby pani, tak subtelna, nie rozumiała, jak mnie rażą jej słowa. Wszak pani wie, jak ja bałwochwalczo wielbię wszelkie piękno, jak unikam wszystkiego, co mi psuje jego czystą linię. Pani nie jest tajnem, że piękno to moje wyznanie wiary, jedyna — ale ściśle przestrzegana religia moja. — Powinna pani o tem tak dobrze wiedzieć, jak mało ludzi na świecie...—Tu zawahał się, jakby pod napływem nagłego wzruszenia i po chwili dokończył szeptem prawie: — pani powinna to pamiętać — — z dawnych czasów...

— Tak, z dawnych czasów — powtórzyła Mela — i widać było, że tego wspomnienia czekała... że je wy-

wołać pragnęła. — Nigdy nie mówiliśmy o nich... od czasu... jak minęły...

— Czyż to nie lepiej?— szepnął on z cicha, jakby z protestem — Po co i na co?...

— Ale — panie Tolu — ja dziś chcę o nich z panem pomówić!

W głosie jej zabrzmiała dziwna stanowczość — rozkaz nieledwie.

Antoni z milczącem poddaniem pochylił głowę.

Na tę chwilę zbliżyła się z wesołym rozgwarem reszta towarzystwa.

— Pójdźmy naprzód — rzekła z nerwowym pośpiechem Mela — nie jestem dziś usposobiona towarzysko, a nadto — — nie chcę, aby nam przeszkadzano!

Antoni, widząc jej zdenerwowanie, podążył za nią posłusznie i długą chwilę szli tak spiesznie obok siebie, nie zamieniwszy ani słowa.

W duszy Antoniego, pod wpływem poprzednich słów Meli poczęły się wyłaniać dawno zmarłe cienie... Zmarła, pogrzebana siłą woli przeszłość powstała z grobu pamiątek i sunęła pogrzebnym korowodem... A wszystkie te mary zwracały wzrok trwożliwy ku Meli z pełnem niepokoju i wyrzutów pytaniem: — Po co budzisz umarłe, po co, po co, po co?

Mela biegła wciąż nierówno, nerwowo a po twarzy jej przebiegała ustawicznie cała skala różnorodnych uczuć — jakichś tajonych bolów, ukrytych goryczy. Krok jej był —to szybki, to powolny... Ni to uciec by

chciała przed nieubłaganym pościgiem — ni to cofnąć się... nie postąpić ani kroku dalej na tej drodze, zbliżającej ją do rozstrzygnięcia — do jakichś strasznych widziadeł przyszłości...

Parę razy otwierała już usta... już miały paść słowa... ale znów walka wewnętrzna zatrzymywała je, tłumiła, zanim przejawiły się dźwiękiem... Te słowa raz wypowiedziane zamkną na zawsze jeden świetlany okres jej życia — otworzą przed nią ciemne krainy: Lasciate ogni speranza!...

Nareszcie — zaczerpnęła silnie po kilkakroć oddechu — i jakby ten świeży powiew gór natchnął ją nową siłą, niezwalczoną mocą — starła ślady bolu z oblicza i zaczęła spokojnie:

— Panie Tolu, czy to prawda, czy tylko może moje urojenie... był czas — kiedy pan nie same tylko przyjacielskie miał dla mnie uczucia?...

— Pani Melu — z namiętnym okrzykiem protestu zakrzyknął Antoni — po co — po co dziś te wspomnienia — po co słowami rozdzierać brutalnie ich kwietną, wonną mogiłę!...

— Potrzeba! twardo padło z ust Meli — ale już w następnej chwili rzekła miękim, proszącym głosem:

— Proszę, niech mi to pan powie... potrzebuję słyszeć to od pana... Choć wiem... wiem wiele... ale pańskie słowa muszą mi to wyraźnie potwierdzić.

Pan bywał w domu moich rodziców, jako kolega mego brata — znał mnie pan jako dziecko jeszcze, widział pan później, jak z dziecka wyrosłam w dziewicę... Był pan przez cały czas towarzyszem i przyjacielem moim,

panu zwierzałam moje dziecinne troski i radości... i pana pytałam później o rozwiązanie zagadek istnienia, gdy myśl moja budzić się zaczęła, gdy poczęłam odczuwać potrzebę uporządkowania mojego stosunku do świata, zrozumienia jego zjawisk i mojej w nim roli.

I pamięta pan, co mi pan raz o niej, o tej mojej roli, o mojem zadaniu w życiu powiedział?

— Tak pani, pamiętam! I dziś powtarzam to samo: Zadanie pani jest zadaniem kwiatu: być piękną. I powiedziałem wtedy jeszcze: A to wielkie i niełatwe zadanie, panno Melu. Trzeba umieć stać się godną królewskiego daru piękności a to wielki trud i wielka umiejętność. Nie wystarczy do tego najpiękniejsza twarzyczka — pani musi być piękną w każdym swoim geście — piękną w ruchu i piękną w spoczynku — ale nadto musi pani być piękną w swoim sposobie myślenia i w każdym swoim postępku!

Tak pojęte zadanie życia da pani siłę apostolstwa na ziemi — wielką i dobroczynną! Będzie pani wiarą, ukojeniem i wzniesieniem ducha dla tych, którzyby bez takich kwiatów istnienia — ducha tego zatracili w powodzi grubych materyalnych haseł!

— I odtąd... czy starałam się postępować drogą przez pana wskazaną?

— Tak, byłaś pani zawsze świetlaną i jasną jak kryształ! Nie zboczyłaś nigdy z linii harmonijnego piękna i sam twój widok był ulepszeniem — wzniesieniem...

— A jednak... przyszedł czas, żeś pan sam dobrowolnie usunął się z drogi mego życia; dlaczego?

— Dlaczego?.. Pani może mnie pytać o to... wszak pani wie dobrze, choć o tem nigdy między nami mowy nie było!... Przyszedł Stanisław! Ja sam go w wasz dom wprowadziłem... zakochani nie mają rozumu... Niebawem spostrzegłem, że on pokochał panią... a nadto... co było dla mnie straszniejszem... spostrzegłem, że i pani od chwili poznania Stanisława przybyło blasków w oczach, że głos pani nabrał innego dźwięku, jakby w nim bezustannie brzmiała hosanna rozradowania, że jednem słowem i w pani wzbudził się wielki cud miłości...

Chcesz pani wyznania? — choć nie wiem, na co ci ono potrzebne — a więc je masz, bo teraz, gdy na nowo rozbudziły się te wszystkie pogrzebane mary — żadna już siła nie potrafiłaby zatrzymać go na moich ustach.

Tak, kochałem Cię, kochałem całem mojem jestestwem, tak jak tylko raz można kochać w życiu. Wszak ja roiłem latami całemi, że dla siebie rozwijam cudowny kwiat twej osobowości, zrosłem się z myślą o Tobie, z nadzieją, że przejdę życie wraz z Tobą!

To też widząc waszą wzajemną miłość, wściekłem się, szalałem... Uważałem Stanisława za wroga, który mi wydarł moją własność, mój skarb życia... I pragnąłem walczyć o to zabrane mi dobro... o moje szczęście.

Lecz — przyszła refleksya...

Świat przedstawił mi się jako powstałe w twórgeniuszu Bóstwa jedno olbrzymie dzieło, grane przez wszystko i wszystkich od wieków i po wieki. Bóstwo porozdzielało w niem role i dobre wywiązanie się z ży-

cia polega na zrozumieniu swojej roli i na przystosowaniu się do niej. I choćby rola trudną była, nie wolno dlatego samowolnie zmieniać obsady, bo skrzywiłoby się Dzieło wielkiego Twórcy. — Ja nauczyłem się myśleć i czuć — ale nie umiałem nauczyć się kochać... Ta rola Stanisławowi przypadła w udziele. Walczyć z naturalnym popędem twych uczuć, to było wypaczyć twoją istotę, zadawać jej gwałt moralny, mącić jej czystą harmonię, a przed tem cofnąłem się jak przed zbrodnią.

... Odszedłem od was, bo rola moja była skończona — — a trzeba mi było zleczyć ból, by podjąć się nadal roli, przypadającej mi z naturalnego rzeczy porządku: roli waszego szczerego, bezinteresownego przyjaciela. I dotychczas nagrodą za dobre wykonanie mej bolesnej roli było mi jedno:

Wiele przebolałem, ale tyś zawsze pozostała wierną linii piękna, którą ci wykreśliłem!... Lecz teraz — przez Boga, wytłómacz mi pani, po co wywołujesz te wspomnienia?...

Antoni mówił z uniesieniem, widać było, że przeżywa na nowo całą walkę owych ciężkich chwil łamania się z własną swą duszą, lecz równolegle snuła się z mózgu jego druga myśl — podejrzliwa a męcząca:

Dlaczego Mela każe mu dzisiaj odnawiać pamięć tego, co było?.

On potrzebował niegdyś całego hartu woli, by nie zmącić jej duszy wyznaniem swej miłości, swej męki i swego bolu!.. A uczynił to dlatego, bo nie chciał, aby ten ból jego i męka padły cieniem skażonym na jej

świadomość, by wyznanie innego ścmiło jasne zwierciadło jej duszy — choćby tym innym był on!

W swym bałwochwalczym kulcie harmonijnego piękna jej istoty wolał raczej zadać gwałt potrzebie własnego serca, byle jej duszy nie musnęło nic, coby nie było przeczyście jasne, nieskalane.

Jej ucho nie powinno było słyszeć innego wyznania miłości, jak tylko wyznanie tego, który miał zostać jej mężem, jej oko powinno było spocząć tylko i jedynie w jego miłosnem spojrzeniu!

Wszystko inne było Antoniemu skalaniem, poniżeniem jej istoty! I dlatego wówczas, gdy odkrył, że ona kocha Stanisława, rzucił wszystko, praktykę i stosunki i wyjechał niezwłocznie. I już po ich ślubie — mimo licznych zaprosin ze strony Stanisława, nieświadomego jego wewnętrznych przeżyć — nie stanął przed nimi dopóty, dopóki nie zmógł w sobie wszystkich żalów za utraconem szczęściem — póki długą, mozolną pracą wewnętrzną nie przekształcił dawnego uczucia miłości na uczucie szczerej przyjaźni dla obojga.

W uczuciu tem, odnośnie do Meli, tkwiła jeszcze zawsze wielka, religijna cześć dla jej piękności, ale już teraz wolna od wszelkich egoistycznych pożądań, podobna do przedmiotowego, bezosobistego uwielbienia dla dzieła sztuki.

I miał to zadowolenie, że widział, iż ofiara jego nie była daremną! Mela piękna, uwielbiona szła przez życie jasno i czysto, jak blask — który budząc ogólny podziw i świecąc wszystkim, nie przestaje być dalekim, niedosięgalnym.

Wesoła, ożywiona i towarzyska miała jednak w swem zachowaniu jakąś nieokreśloną wyższość, która sprawiała, że mimo jej piękności niczyje uwielbienie nie śmiało się przeistoczyć w pożądanie, że nawet zawistna plotka nie rzuciła się nigdy swym brudnym cieniem na jej drogę świetlaną. I pożycie jej z mężem było również przeniknione jasnym blaskiem wzajemnej, głębokiej miłości.

...Tak było dotąd... lecz teraz... myśl Antoniego wzdrygnęła się sama przed sobą...

...A jednak... to takie dziwne... Zdenerwowanie Meli datujące się nie od dziś... od kilku miesięcy... symulowanie choroby sercowej, której — był pewny, że nie miała, ta wyraźna chęć zbliżenia się do niego... i teraz to dziwne wyzwanie na wspomnienia!...

Czyżby?...

Nie... to byłby cios dla całej budowy etycznej, jaką sobie Antoni wzniósł tak moralnie kosztem własnym uczuć serdecznych...

A jednak myśl, odtrącana z oburzeniem, nie dawała się wyrugować z mózgu.

Czyżby Mela, znudzona już może jednostajnością swego szczęścia, zapragnęła świeżych wrażeń, nowych emocyi... i czyżby chciała ich szukać w flircie z nim... w budzeniu do życia stłumionych siłą woli jego uczuć?...

Nie... to być nie może... Mela nie może być zwykłą, tuzinkową kokietką... nie może psuć klasycznej linii swego piękna... A jednak...

Mela zrozumiała myśl, czającą się w ostatniem pytaniu Antoniego.

Gorzki uśmiech ukazał się na jej twarzy: A więc nawet ten Antoni, który znał ją od dziecka, który sam wychował, wypielęgnował jej duszę, który przez lat tyle widział, że pozostawała wierną wpojonym w nią przez niego zasadom — mógł zwątpić o niej... posądzić ją, choćby na chwilę o taki banalny sposób myślenia? ...

Jednak, trudno... ona z drogi zawrócić nie mogła; winna to była sobie i ukochanemu małżonkowi swemu, któremu już niezbędną się stała wizya jej piękności... winną nawet i temu swojemu wychowawcy w kulcie estetycznego piękna w życiu...

Westchnęła...

... — Tak, miał niegdyś racyę Antoni, jej zadanie w życiu nie było łatwe!..

Nasunęło jej się porównanie do sternika tonącej nawy. Wszystkim wolno opuścić nawę, by w ucieczce szukać ratunku — on jeden musi ginąć wraz z nią...

Nawą jej życia była piękność, więc...

— Po co ja wywołałam te wspomnienia?—powtórzyła — a twarz jej stała się smutną niewyleczalnym smutkiem. Oto dlatego, panie Antoni, aby ponownie usłyszeć z ust pana, czy pamięta pan o zadaniu, jakie mi pan w życiu wytyczył i czy trwa pan dotąd przy tem zdaniu...

Antoni coraz mniej rozumiał. lecz choć nie mógł sobie niczego wyjaśnić, począł coraz wyraźniej wyczuwać coś złowrogiego — wionął nań nagle powiew zimnej chusty nieszczęścia, a z czoła Meli błysnął mu blady stygmat złej doli...

Coby to być mogło?.. Co jej groziło — nie wiedział — ale jego dawniejsze niejasne przeczucia i obawy, odpędzane zawsze rozumowaniem, zbiegły się naraz do jego myśli zuchwałą, krzykliwą gromadką z tryumfalnem wołaniem: jesteśmy, znowu jesteśmy, w nas jest prawda i mus przeznaczenia... i spełnimy dolę, spełnimy...

Ale i teraz próbował opędzić się im wysiłkiem woli i wmawiając w siebie, że cała ta rozmowa nie ma głębszych przyczyn, lecz tylko kapryśne zdenerwowanie Meli, usiłował jej nadać ton żartobliwy:

— Ależ naturalnie, i gdyby pamięć moja trwała tylko od minuty do minuty, to widok pani tak zawsze śliczniej i miłej przypominałby mi to ustawicznie. Wszak teorya moja znalazła w pani tak znakomite wcielenie, że mogę powtórzyć tylko jeszczej nabożniej, jak dawniej:

Zadaniem pani jest być piękną!..

— A cóż dla pana naprzykład za pożytek z mojej piękności, gdy mnie pan latami nie widuje?

— Wtedy pozostaje mi wspomnienie piękności pani. A to wiele znaczy, niech mi pani wierzy, piękność nieżmącona wspomnień to wielki skarb życia wtedy, gdy się inne skarby utracić musiało.

— Dziękuję panu za tę odpowiedź! Przyjdzie czas, gdy pan zrozumie całą jej, nieocenioną dla mnie, wartość... Piękność niezmącona wspomnień, to wielki skarb życia, wtedy, gdy się inne skarby utracić musiało — powtórzyła, a wzrok jej stał się ciemniejszym, jakby pogłębił się jeszcze o całą, niezmierzoną toń smutku.

Zwiesiła przez chwilę głowę i szła milcząca, cicha jak zjawisko...

Złota tarcza słoneczna już trzy ćwierci swej dziennej ubiegła podróży a teraz poczęła snopami promieni wiązać się z wierzchołkami gór, zarzucać na nie tysiące sznurów złocistych, by następnie po tych wiązadłach zesunąć się ku nim, przytulić się do nich miłośnie a wreszcie utonąć w ich wnętrzu przepastnem. I rozzłociły się stoki, rozzróżowiły i zapłonęły, jakby w pełnem wstydliwego pożądania przeczuciu blizkiego już, radosnego ze słońcem połączenia. — Barwy poczęły się przerzucać i przelewać; to fiolet, to purpura, to złocień rzucał się, przemykał to tam, to sam, barwy i blaski to przypadały, to znów pierzchały, jakby jakaś wielka i święta praca, jakieś pospieszne a radosne przygotowania uruchomiły nagle różnolitą gór powierzchnię.

Mela podniosła po chwili głowę i wpatrzyła się w złote blaski.

— Zachód jest cudny... Niema, jak piękny, pogodny zachód — rzekła — Nieprawdaż?

To dlatego tak piękne, że jest przeczuciem ukojenia snu... To tem błogiem przeczuciem uśmiecha się przyroda tak świetlanie w przedwieczornej godzinie.

Ale a propos, panie Tolu, dorzuciła lekkim już tonem. To mi przypomina, że od dłuższego czasu źle sypiam. Przypuszczam, że powodem tego jest niedokrewność, której początki, jak pan sobie zapewne przypomina, miałam jeszcze za panieńskich czasów. Wtedy uchronił mnie pan przed rozwinięciem tej choroby, stosując wczas środki zapobiegawcze. Teraz,

dłuższy czas nie zważałam na poczynające się złe i dlatego zapewne niedokrewność się wzmogła. Ona też pewnie jest powodem mojego coraz silniejszego zdenerwowania... i tych dziwnych jakichś strachów i nastrojów, którymi potem daję się we znaki takim dobrym, pobłażliwym, jak pan, przyjaciołom!

Chciałam więc pana prosić o przepisanie mi znów tej samej recepty, która mi wówczas tak szybko pomogła.

— Chętnie — odpowiada Antoni — i chwyta w lot to jej wyjaśnienie, by uspokoić, zażegnać niem wszystkie swoje obawy.

Tak — nie ulega wątpliwości, to całe zdenerwowanie, chorobliwość lekka cery, przywidzenia i bezsenność mają swoje źródło w anemii. Że też on sam odrazu na to nie wpadł, tylko tworzył sobie jakieś nieuzasadnione straszaki i majaki!..

. . . . . .

Doszli tymczasem do celu wycieczki, do rozległej, zielonej hali.

Niebawem nadciągnęło gromadkami towarzystwo, panie rozsiadają się na trawie, panowie idą ku chatom, wołając:

— Hej gazdy, jest tam który, a możebyście nas też czem pogościli, bośmy okrutnie zdrożeni.

Na to wezwanie wychyla się z chałup parę głów ludzkich; tam w pierścieniach srebrzystych włosów gło-

wa starego górala, ówdzie czarne rozwichrzone kędziory małego juhasika, gdzieindziej znów główka dziewuszki w czerwonej chusteczce.

Stary, popatrzywszy mało wiele, splunął kilkakrotnie, ścisnął mocniej fajeczkę w zębach, poskrobał się po głowie — znowu popatrzył, znowu splunął i wreszcie z filozoficznem:

— A Bogdi ich to... ka jo tam będe do nich dyboł... a dy som hań i inse — cofnął się do chałupy.

Dziewczyna wychyliła swą czerwoną główkę-makóweczkę, przysłoniła fartuszkiem oczy, zerknęła z za tej improwizowanej żaluzyi... i również uważała za stosowne dać drapaka, by tem pilniej z poza małej przydymionej szybki szałasu przypatrywać się gościom. Ee — żeby tak matula.....

Najodważniejszy a może tylko mniej filozoficznie rzeczy biorący chłopak — sam jeden pozostał widzialny.

Wylazł nawet powoli z chałupy, pokłonił się „piknie“ czapczyną: „Zdrawiście“ i przystanął opodal, dla kontenansu i łatwiejszej obserwacyi towarzystwa, dłubiąc zawzięcie palcem w nosie.

— Chodź no tu bliżej chłopcze — zawołano ku niemu.

— A cego to fcom? — zapytał — zbliżając się o krok.

— Nie możnaby tak dostać u was czegoś do zjedzenia?

— A coby ta nie... ino ze wszyćkie w halach z chudobą — ale zackajcie se ino końdek, ony sie tu wnetki wrócom.

En attendant rozłożono przyniesione z sobą zapasy; poczęto się częstować wzajemnie i pokrzepiać, dobry humor się wzmógł, żartami ciskano jak rakietami, przekomarzano się i naciągano po trosze. Ktoś zerwał jedną z licznie rozsianych wśród trawy stokroci i począł z niej wróżyć. Zabawa podobała się ogólnie, niebawem każdy już miał w ręku stokroć i obrywając jej płatki, wróżył: a czy jest kochany, a czy będzie szczęśliwy, a czy zejdzie się kiedy jeszcze w życiu z tą lub ową z osób teraz razem zebranych.

— A teraz ten różowy kwiatek niech nam zdradzi tajemnicę, czy tak za 50 lat pani Mela uroni już cokolwiek ze swojej bajecznej urody — zawołał żartobliwie jeden z panów, zrywając nową stokróć. Lecz Mela zerwała się z murawy i wyrywając mu kwiatek, zawołała z wesołym protestem:

Point d'indiscretion — chcieć pytać losów o zatratę piękności kobiecej — to się nie godzi! — Piękność winna być wieczna!

I uniósłszy kwiat w górę, stała tak chwilę, trochę w tył przegięta, jasna i barwna na ciemnem tle gór. Promienie zachodzącego słońca obwiodły jej całą postać złocistym konturem, przeciskały się przez rozsunięte z lekka palce jej wzniesionej dłoni jak strugi złotego deszczu, a różane refleksy, spływające na nią z ponsowych falban kapelusza przepajały ją całą bajeczną, przejrzystą różowością. I wydawała się istotnie jakiemś nieśmiertelnem zjawiskiem, zlewającem na ziemię swą dobroczynną dłonią złoty czar wdzięku.

Antoni wpatrzył się z zachwytem w ten chwilowy żywy obraz i znowu spłynęło nań uspokojenie. Niepodobna, aby coś mogło grozić naprawdę tej roześmianej, promieniejącej humorem i pięknością kobiecie.

A zresztą, i cóżby?... badał ją przecie, wie, że chorą nie jest, mąż ją kocha, ma dostatek, młodość, szczęście!.... Ot zmory i majaki... nic więcej!...

Niebawem posłyszano charakterystyczny dźwięk dzwoneczków i ze zboczy gór, ze ścieżek leśnych poczęły się wysypywać wełniste trzody a za nimi juhasy z wesołemi śpiewkami i hukaniem.

Nadeszła i gaździna ze swoją trzódką a zapędziwszy ją do zagrody, podała wycieczkowcom chleb czarny, skrzypiące bunce i grzaną ranną żętycę.

. . . . . .

Dobrze już pod wieczór, gdy halę wilgotna rosa przypadła, zabrali się wycieczkowcy do odwrotu. Uroczy wieczór wśród gór zlewał na nich stokroć jeszcze potężniejsze czary, niźli nawet miniony, tak przecież cudny, przepojony blaskami i słonecznością dzień!..

...Naprzód, mrok wieczorny owinął dolinę swym tajemniczym, mglistym płaszczem... I trwała za tą zasłoną, jak niezbadana zagadka bytu...

Po chwili... wypłynęła ze skłonu horyzontu świetlista, seledynowa pochodnia księżyca i zalała wszystko na okół nieskończenie słodkiem, łagodnem światłem, wnikając w dusze rozmarzeniem, ukojeniem, cichością...

I zdało się, że w tem błogiem, cichem świetle roztopić się musiały i w nicość rozpłynąć wszystkie ziemskie bole — ukoić na zawsze wszelkie burze istnienia...

Blask rzucał na wody potoku wielkie, lśniące płaty migotliwego srebra, roziskrzał miryadem brylantów krysztaliczny żwir drożyny, wyolbrzymiał skaliste góry w fantastyczne szeregi gigantycznych zamków.

Dolina kościeliska zawsze, o każdej porze, swym prostopadle ściętym, poszarpanym gór układem robi wrażenie jakiegoś miasta olbrzymów, ale teraz, przy wieczornej poświacie, wyobraźnia opanowywała niepodzielnie dusze i snuły się niezmącenie czarodziejskie baśnie, góry zaludniały się tysiącem jestestw bajecznych duchów-potworów i królów-duchów... i służących im wiernie pierzchliwych pstrych dziwożon i szarych złośliwych chochlików... i mnichów zaklętych w niebosiężnych skałach—kościołach...

Żaden dziw — żadne nadprzyrodzone zjawisko nie wydałoby się zbyt fantastycznem w tym dusz nastroju... Bajeczne stawało się tu rzeczywistością, rzeczywistość w obliczu wzniosłości karłowaciała i bladła, traciła wartość realną, schodziła do nędznego, marnego strzępu rzeczy próżnej, znikomej...

Potężne — imponujące swym ogromem skały Zamczyska i skały - kościoły i skały—grody obronne wysuwały się coraz nowe z poza drogi zakrętów i rysowały się na jasnem, roziskrzonem tle nieba przedziwną, przebogatą architekturą galeryi, flanków i wieżyc. I zdało się, że we wnętrzu tych gigantycznych budowli, po za

ich porannym, zewnętrznym spokojem, wreć musi jakieś wielkie — silne życie — że są one może przybytkiem spotężniałych nieśmiertelnością pokoleń, które z ziemi odeszły...

...I zdało się... że chwila jeszcze, a rozewra się z trzaskiem kamienne podwoje, przez srebro rzeki przerzuci się na skrzypiących wiązadłach most zwodzony... rozlegnie się ostry chrzęst zbroi i trąbki granie i z tych wszystkich zamków strzelistych płynąć poczną zastępy w stal zakutych rycerzy, zaszumią skrzydła husarskie... a z fantastycznych dzwonic granitowych kościołów rozdźwięczy się spiżowy głos dzwonów, a z wrót wysuną się długie korowody szarych mnichów z żółtemi pochodniami w ręku, z godłem krzyża i chorągwiami z Przenajświętszą Panienką i tym Orłem białym, co tu dotąd, w cichych skałach zamknięty, leczył wiekowe swe rany...

I zdało się, że chwila jeszcze a te wszystkie zbrojne w stal i w krzyż zastępy połączą się w jeden potężny, olbrzymi, mocarny zespół i ruszą wśród szumu i dźwięku i pieśni na jakiś wielki, wyśniony, oddawna przeczuwany, dziejowy dzień ku temu cudownemu Krakowowi, co go Bóg sam przed wiekami — ludziom na wzór — tu w górach swoich utworzył...

. . . . . .

Czary te i sny na jawie powiały na wszystkich zaklęciem milczenia... Najsubtelniejszy, najcichszy dźwięk słowa stałby się hałaśliwym zgrzytem w tem cudownem baśni królestwie...

Milczenie, zrzadka tylko słowem przerwane, trwa-

ło i wtedy, gay wycieczkowcy dosięgli oczekujących ich u wyjścia z doliny furmanek.

Mela i Antoni w towarzystwie kilku jeszcze osób jechali w jednym pojeździe, lecz skupieni i przejęci patrzyli wgłąb dusz własnych, nie zamieniając ani słowa.

Dopiero przy wysiadaniu, gdy Antoni chciał się żegnać, Mela przypomniała mu obietnicę zapisania recepty. Przywilejem lekarza, mimo spóźnionej pory, wstąpił do jej pokoju.

Przy bladem świetle lampy starał się znowu wpatrzyć w jej twarz, by wyczytać, jakie myśli może kryć jej kształtna główka. Ale nie wyczytał w niej nic niepokojącego. Była tylko łagodnie cicha i rozmarzona.

Podsunęła mu papier i pióro.

Napisał receptę i oddając ją, rzekł jej:

— Po piętnaście kropli na cukier — tylko ostrożnie pani Melu, bo w tem jest dość silny procent arszeniku, który w większej dawce mógłby się stać szkodliwym a nawet niebezpiecznym.

— Ależ naturalnie—przecież nie jestem dzieckiem— odparła, powstając.

Powstał i on, ale przy pożegnaniu, pod nowym napływem niepokoju, przytrzymał dłużej jej ręce i patrząc badawczo w oczy, zapytał:

— Pani Melu! co znaczyła dzisiejsza mowa tam w dolinie? Wszak ze mną może pani być zupełnie szczerą, wiedząc jak jestem pani życzliwy...

— Tak, wiem o tem i wierzę, że gdyby w mocy pana leżało uchylić ode mnie jakie wielkie zło, to nie

zawahałby się pan przed największą nawet ofiarą. Nieprawdaż?

Spojrzenie jej pełne słodkiej, dobrej ufności przejęło go jakiemś miłem, łagodnem ciepłem.

— Może pani być pewną, że dla pani nicby mi się zbyt ciężkiem nie wydawało.

— Tak, wierzę i ufam panu i dlatego jestem spokojna.

— Ale na Boga, co pani grozi? — zawołał znów zatrwożony.

— Nic, dzięki panu — uśmiechnęła się łagodnie — ale gdyby... mi zagrażała jakaś wielka szpetota, czy to — fizyczna czy moralna, a w pańskiej mocy leżało uchylić ją ode mnie... czy... wtedy... targowałby się pan o cenę... czy jakakolwiek — wydałaby się panu zbyt wysoką?

Antoniemu zdawało się, że jakieś straszydło chwyciło go garściami za włosy... dreszcz przebiegł mu po ciele...

Znowu... znowu... ten obraz szpetoty... i to ona... ta śliczna Mela...

Nie zdając sobie zupełnie sprawy, coby to być mogło, jakiego rodzaju szpetota mogłaby jej grozić, już samem zestawieniem tych dwóch obrazów: Meli i szpetoty, uczuł się do głębi wstrząśnięty, jak gdyby ktoś w oczach jego chciał popełnić straszliwe świętokradztwo.

— Pani Melu, tego nie będzie, póki ja żyję! — To nie frazes... Ale co pani grozi? Może jaka nędzna potwarz, jaka bezecna intryga wśliznęła się w życie pani?...

Może jakie nizkie podejrzenie... może Stanisław?...

Ale nie, to być nie może... Jednak... cokolwiekby to było, niech pani mną rozporządza; choćbym miał się z całym światem wziąć za bary, ja panią od tego wyzwolę!

— Na razie nie mogę panu więcej powiedzieć — dziękuję z całego serca, a niebawem wyjaśni się panu wszystko.

A teraz proszę się uspokoić; proszę ładnie i grzecznie, wszak powiedziałam panu wyraźnie, że w mocy pana będzie złe usunąć. To tak, jakby go nie było, wszak prawda?

A zatem piękne dobranoc mojemu najlepszemu przyjacielowi.

W kilka dni po opisanej wycieczce doktor Krwawicz szedł o godzinie jedenastej z rana drożyną wiodącą wzdłuż gór od doliny Strążyckiej ku zakładowi.

Czuł się dzisiaj niezwykle rzeźwy, ochoczy, prawie radosny. — Od rana był w dziwnie dobrem usposobieniu.

Obudziło go jasne słońce, wpadając do pokoju złocistą strugą — po pierwszem spojrzeniu w oko, po-

witał go, cały zróżowiony, jakby w odświętne blaski przybrany Gewont. Powstając ze snu nocnego, na oczach Antoniego rozwijał z siebie i rozrzucał w powietrze puszyste pierze mgieł, co otulały go ciepło, troskliwie w chłodzie nocnym a teraz — już niepotrzebne — rozpływały się w jasnym, słonecznym poranku w czarodziejską niewidzialność. A olbrzym dumnie odsłaniał swe wspaniałe kamienne ciało słońcu, blaskom i oczom stworzenia... Różowy i złoty, świetlisty i jasny prężył tryumfalnie w poczuciu swej siły i piękności niespożyte nagie ciało, jak dumny symbol zwycięstwa nagiej, bezwzględnej prawdy wieczystej przyrody nad pełną obłudnych obsłonek wypaczoną, skarłowaciałą cywilizacyą.

I Antoni zapragnął całą siłą swej duszy zrzucić z siebie ciasne pęta, opuścić czemprędzej krępującą klatkę — mieszkanie człowieka kulturalnego i rzucić się w objęcia przyrodzonej wszechpiękności, rozpłynąć się swojem odrębnem „ja“ w tem jasnem otchłannem święcie poczynającego się dnia. Nie chciało mu się myśleć o niczem osobistem, nie chciało mu się być człowiekiem, czuć swą indywidualność, — ale nastroić się na jeden ton z całem tem błyskotliwem, rozświetlonem weselem wszechświata, — razem ze skałą, kamieniem, kwiatem, drzewem, zwierzęciem prężyć się ku jasnemu, życiodajnemu słońcu i wraz ze wszystkimi tworami śpiewać jasną przepiękną i przepotężną symfonię wesela:

Słońce, słońce, słońce...

Wybiegł z domu, rzucił się w góry, snuł się po skałach, leżał na miękich, puszystych darniach, rozpłynięty w zupełnej, radosnej nirwanie, w zapomnieniu bez-

względnem o wszystkiem, co jest szczegółem... nie wiedząc, że kwiat jest kwiatem, woda wodą, kamień kamieniem — — nawet że słońce jest słońcem... ale wczuwając się w to wszystko, nawzajem pochłonięty w jedną wielką ogólną, niezmierzoną falę błogości.

W pewnej chwili jegnak... coś niejasnego jeszcze— nieokreślonego... zmąciło jasne, spokojne zwierciadło nirwany... Odezwał się człowiek z niewyraźnem jeszcze, ale już kiełkującem poczuciem indywidualności... Pierwszy zarodek tego poczucia wywinął się właśnie z tej błogiej fali niezmiernego zadowolenia.

— Dobrze mi tu — sformułował sobie w pewnej chwili swój stan Antoni — i z tą chwilą rozlewność nirwany poczęła się krystalizować w wyodrębnioną myśl świadomą:

— Dobrze mi tu, ale co to ja mam robić dzisiaj?..

Cywilizacya odebrała przyrodzie swą własność — człowieka!

Antoni poczuł się znów doktorem Krwawiczem, lekarzem klimatyki, mającym obowiązki zawodowe i zobowiązania towarzyskie, osobiste pragnienia, troski, sympatye etc.

A równocześnie z wyodrębnieniem osobowości wyodrębniła się też w mózgu myśl dominująca — myśl o Meli.

Zerwał się z miękiego, darniowego posłania i szybkim ruchem wyciągnął zegarek z kieszeni.

Dziesiąta — a ja mam dziś około jedenastej być u Meli, trzebaż mi się spieszyć, żeby się biedactwo nie niecierpliwiło.

Jakaś mi spokojniejsza od kilku dni... jakby się w niej coś przełamało, uciszyło... To zapewne zwrot ku lepszemu, nie trzeba jej tylko niczem denerwować — myślał z mięką, macierzyńską tkliwością, jak o małem, kochanem dziecku.

Znam ja już ten zawiły mechanizm, jakim jest ustrój nerwowy kobiet. Mechanizm idzie równo, zdaje się silnym, wytrzymałym, tak długo, jak długo jakieś drobne, nieraz nieznaczne uderzenie nie zalteruje jednej, małej sprężynki... Gdy to raz nastąpi, wszystko się rozprzęga — i trzeba nielada starań i nielada umiejętności, żeby mechanizm wprowadzić na nowo w prawidłowe tory.

A on już tak się radował uspokojeniem Meli... I kto wie, może i dzisiejszy weselny nastrój poranny temu zawdzięczał... Może on, i ten słoneczny poranek, mocą nieuświadomionych skojarzeń, z identyfikował z jej świetlanym w swej duszy obrazem...

I nagle zbudziło się w nim potężne pragnienie zobaczenia jej w tej złocistej powodzi światła. Błysnęła mu jasna wizya jej doskonałej postaci, w obliczu wchodzącego słońca.

Czuł, że gdyby ją teraz zobaczył — jak zawsze w ostatnich czasach, w nieszczerych, niepewnych półcieniach — półmrokach — to odczułby to jako ból — jako zgwałcenie swej moralnej istoty...

Ale nie... w nim tak wszystko tchnęło słonecznością, takie miał silne jej poczucie, że nie mógł dopuścić nawet prawdopodobieństwa zmącenia jej... przeciwnie zbudziła się w nim nadzwyczaj intenzywna — nieza-

chwiana pewność, że Mela dostroi się do cudownej harmonii jego duszy i całej przyrody... I widział ją już przed sobą w świetlanych powodziach poranka... Podwoił kroku, biegł prawie, byle prędzej ziścić spełnienie swej wizyi...

I nie zawiódł się!

Mela, jakby odgadując jego najgorętsze życzenie, szeroko rozwarła podwoje światła, usunęła wszystko, coby mogło przyćmić choćby jeden jego promyczek... pozwoliła mu płynąć szerokiemi złocistemi strugami!

Otworzyła na rozcież drzwi od balkonu, usunęła z okien firanki i pośrodku pokoju w największej, najzłocistszej strudze światła czekała na jego przybycie...

Widok tego, nieledwie cudotwórczego wcielenia swych pragnień oblał Krwawicza falą zdumionego ekstatycznego zachwycenia.

Radośnie podbiegł do Meli i z uniesieniem ucałował jej śliczne, prześwietlone różowością krwi, dłonie!

...Lecz... już drugie na Melę spojrzenie zgasiło mu nagle wszystkie blaski a dusza jego odrazu z najsilniejszej nuty hymnu radosnego przeszła w nieruchomą oniemiałość trwogi, nakształt rozśpiewanego w słońcu ptaszęcia, przykrytego nagle czarną, ponurą zasłoną!..

Niewysłowione bolesne zdumienie zaparło mu dech w piersiach, zmąciło władzę myślenia...

Kto to?... jakto... więc to jest Mela?...

Takiej jej jeszcze nigdy nie widział,... nie znał jej formalnie!...

I jak dziecko, zagadnięte niespodzianie przez nauczyciela — zmieszanemi oderwanemi myślami, z tępym

trudem — począł sobie mozolnie przypominać to, co wiedział dawniej... porównywać to z tem nowem nieznanem, czego jeszcze nie mógł umysłem objąć...

Tak... ta stojąca przed nim postać była nieskończenie różną od dotychczasowej Meli Zakopiańskiej... ale... przecie... począł odnajdywać w niej jakieś podobieństwo, do kogoś znanego dawniej...

Tak... już wiedział... była ona jakby sennem przypomnieniem... cieniem dawnej Meli, z pierwszego okresu ich znajomości.

I już na tem rozpoznaniu się opierając, Antoni począł grupować przypomnienia w logiczny węzeł pojęć.

Przypomniał sobie, że od pierwszej chwili przyjazdu jej do Zakopanego widział zawsze twarz Meli obramioną bujnymi puklami złocistych włosów, silnie ufryzowanych i z secesyjną tendencyą okrywających wypukłą, szeroką ramą jej czoło i uszy, aż do połowy policzków sięgając.

Suknie jej również stosownie do panującej japońskiej mody opływały ją luźnymi, szerokimi fałdami, zacierając prawie zupełnie kształty jej postaci.

Dawniej przeciwnie Mela ujmowała włosy wysoko, odsłaniając twarz całą a przeważnie angielskie fasony jej sukien zarysowywały wyraźnie, plastycznie jej przedziwne kształty.

Dziś powróciła Mela do dawniejszego sposobu noszenia się.

Obcisły, wycięty, biały szlafroczek rysował wyraźnie jej figurę i odsłaniał szyję. Włosy wysoko nad czołem wzniesione nie przysłaniały ani skroni ani poli-

czków, ani nawet rąbka jej drobnego uszka. Cery nie fałszował ani jeden pyłek pudru.

I czemuż radość Antoniego znikła nagle i doszczętnie — odpadła od niego i uwiędła jak więdną i opadają wiotkie płatki białego kwiatu czereśni, który czasem — złudzony zwodniczym słońca promieniem wystrzeli z zielonego pąkowia w lodowaty dzień grudniowy?.. Czemuż radość ta stała się mu odrazu tak obcą i daleką, jakby dusza jego od wieków już całych przebywała wśród samych cieniów i smutków?..

Wszak od przyjazdu Meli do Zakopanego ciągle pragnął ją tak zobaczyć, jak ją widzi w tej chwili!..

— To prawda — pragnął ją „tak“ zabaczyć — — ale — nie taką!

...To nie kapelusz rzucał na jej twarz mętne refleksy — — to nie puder odbierał jasną przejrzystość jej cerze... Jakaś blada żółtość z dziwną, niepokojącą przymieszką szarości widniała na jej twarzy i szyi, których niezrównaną karnacyę Antoni podziwiał niegdyś tak bardzo! Z wyszczuplałej twarzy rysy występowały bez dawnej, pełnej wdzięku miękości — ostro i boleśnie — a cała postać, pozbawiona dotychczasowych omamień mody i sztuki kobiecej rysowała się pod gładkim szlafroczkiem nikło, chorobliwie, biednie...

I odrazu — z jasnością, na jaką zdobyć się może tylko lekarz — Antoni zrozumiał:

Jakiś wróg straszliwy zniszczył kwiat piękności Meli — i tylko olbrzymi wysiłek jej woli, okropna jakaś szarlatanerya rozpaczy zdołały dotychczas ukryć przed światem tę straszną tajemnicę!

Dyskretnie fałdziste suknie, gorsety i falbanki, róże i bielidła były jej smutnym sprzymierzeńcem!

Całe morze rozpacznych pytań i okropnych zwątpień i błysków nadziei przelało się olbrzymią falą w tej krótkiej chwili przez umysł doktora. Całe życie można było przeżyć w tym momencie!

Co to jest?.. Co jej być może?.. I jakie to straszne być musi, jeśli ona się z tem dotąd tak starannie, nawet przed nim, lekarzem i przyjacielem, ukrywała?

I już teraz wiedział z fatalistyczną pewnością, że dla niej niema ratunku, że to coś urąga jego wiedzy, że walka będzie daremną!..

Ale walczyć musiał do ostatniego błysku istnienia, z całych swoich sił i całą mocą swej umiejętności, bo uczuł nagle i zrozumiał, że ten cień blady staje mu się jeszcze stokroć droższym od tamtej dawnej królewskiej piękności!

Przypomniał mu się zapomniany pod wpływem niespodziewanego, silniejszego nad wszystko zdumienia obowiązek lekarza, któremu nie wolno okazywać trwogi wobec pacyenta..... Opanował się w jednej chwili, pytając względnie spokojnie:

— Cóż to pani dzisiaj, pani Melu, jakaś pani mizerniejsza, niż zwykle?

— Tak... dzisiaj... — odpowiedziała Mela z beznadziejnie smutnym, jakby martwiejącym na ustach cieniem uśmiechu.

Z tą zmartwiałą twarzą, w której nie było już nawet wyrazu cierpienia, które zawsze jest jeszcze życiem, walką, z opuszczonemi bezwładnie wzdłuż ciała

rękoma czyniła wrażenie jakiejś nieżywej powłoki istoty, którą była...

Lecz po chwili ożywiła się trochę:

— Doktorze, prosiłam pana o przybycie, bo chciałam, aby pan dokładnie,w świetle dnia zobaczył wyrzut, jaki już od dłuższego czasu mam na twarzy.

Przy tych słowach przystąpiła bliżej okna i ukazała Antoniemu swój prawy policzek w pełnem świetle słonecznem.

Antoni postąpił za nią jak automat... Popatrzył na zgrubienie, szarą wypukłość naskórka w okolicy prawego ucha, dotknął go dłonią, uciskał palcami... i znowu patrzał, dotykał, uciskał... odgarniał najmniejszy włosek, zbłąkany na twarz... przedłużał badanie, przechylał głowę Meli na prawo, na lewo, machinalnie bezwiednie prawie dotykał miejsce obok miejsca, chciałby był rozciągnąć badanie w nieskończoność — byle zyskać choć minutę jeszcze — byle choćby przez minutę nie potrzebować wydobyć głosu ze zciśniętej krtani..... Bo może głos kłamać nie zechce — nie będzie mieć siły kłamać... odmówi mu posłuszeństwa!..

To, co było — było tak niepojęte w swej ohydnej grozie!.. Miał pewność — niezbitą pewność!...

Dla niego jako dla lekarza nie mogło być dwóch zdań w tej kwestyi — a jednak nie wierzył własnej pewności — raczej wolał przypuścić, że jego mózg przestał logicznie myśleć, że jego zmysły fałszywe mu wrażenia przynoszą!

Na prawym policzku Meli, w miejscu zwykle przysłoniętem fryzurą widniała jakby brudna plama, jakby

duży pryszcz podskórny objęty naokoło w lekko zaróżowioną, tęczową obwódkę.

Pod dotknięciem wyczuwało się wydatne zgrubienie a od tego głównego ogniska rozchodziło się na wszystkie strony setki niewidzialnych jeszcze dla oka gruczołków, które, jak krety podziemne, ryły pod skórą labirynty swoich zdradzieckich chodników, pokrywały i żarły tkankę..

Rak — rak twarzy, w ostatniej fazie przed ropieniem zewnętrznem! Tylko patrzeć — za kilka — za parę już może tygodni ta cała wraża, niewidzialna dotychczas armia przerwie podminowaną już tamę naskórka i wystąpi zwycięsko na zewnątrz w całej swej wstrętnej ohydzie.

Lecz chciał... chciał jeszcze wątpić... choćby wątpić — za wszelką cenę!..

Zrobił ogromny wysiłek woli, by ze ściśniętego gardła wydobyć spokojnie pytanie:

— I dawno pani ma ten... wyprysk?

— Tak, to dosyć uporczywe.. Kiedy się zaczęło— sama nie wiem... Ale zauważyłam to tak mniej więcej pół roku temu!

W spokojnym jej głosie dźwięczała jakby słabiutka nuta pobłażliwej ironii:

— Tak, wiem, silisz się biedaku, aby mi nie okazać przerażenia! Wiedziałam, że tak będzie—ale zawsze to ładnie z twojej strony — znaczyła ta mała nutka.

Antoni doznał takiego uczucia, jakiego by zapewne doznawał zapadający się w otchłanną ciemność w chwili, kiedy by zanikł ostatni promyczek światła!

Od pół roku — a więc łaski wątpienia nie było mu dane!

A jednak radzić!... Ratować!... Ale jak?... Niema ratunku... Więc co robić, co robić, co robić?

— Nic! —

To słowo choć niewypowiedziane zabrzmiało mu w uszach beznadziejnie krótkim, śmiertelnym dźwiękiem katowskiego miecza!...

Nic się zrobić nie da! Więc cóż? Czekać, aż straszny wróg ukaże się w całej swej ohydzie?... Patrzeć z dnia na dzień na jego zwycięskie, całej wiedzy lekarskiej urągające postępy — na ból fizyczny ukochanej kobiety — i na stokroć jeszcze większy jej ból moralny, gdy cała szarlatanerya lekarskich sztuczek i wykrętów nie starczy, by jej zataić okropną prawdę co do natury jej cierpienia! I nauczyć się patrzeć z ukrytym, bo litośnym wstrętem na tę istotę uwielbianą! — A Stanisław! Ten mąż nic nie przeczuwający, przy całej swej tkliwości egoistycznie dumny z piękności swej żony! Czy jego miłość starczy na przezwyciężenie wstrętu naturalnego, jaki budzi ta okropna choroba?

A choćby nawet... to Mela to odczuje — zrozumie i przeniknie tę tragiczną, okropną komedyę poświęcenia.

I ta męka wspólna dusz znękanych przedłużać się może lata całe!.. Operacye — odnawianie — bezcelowe torturujące przedłużenie cierpienia!

Te straszne refleksye, jak furye drapieżne, z błyskawiczną szybkością wżerały się jedna po drugiej w mózg Antoniego!

I nagle — wzbudziła się w nim dzika wściekłość, zwierzęca zajadłość i jak płomień ogarnęła go niepohamowana, żywiołowa żądza rzucenia się na zło, zniszczenia go jednym zamachem!

Zabić! Zabić — wyło w nim z pierwotnie żywiołową siłą instyktu. — Zabić, zniszczyć, zanim spełni się ta cała ohyda.

Przestał być lekarzem, przestał być członkiem cywilizowanego społeczeństwa, nie istniały dla niego żadne kodeksy, żadne przykazania.

Mordu — zniszczenia — wołało całego jego jestestwo!

I gdyby w tej chwili narzędzie mordercze — wielki, wyzwalający czyn byłby spełniony!

Lecz chwila namysłu!...

Purpurowy kwiat czynu nie wykwitł!...

W następnej — walka mocarnego instynktu z konwencyonalną małodusznością była skończona.

Choć w mózgu Krwawicza szalała dalej burza rozpacznych myśli, to zeszły one na dalszy plan rozległego pola myśli — jakby intryga aktorska za kulisy sceniczne. I choć tam za kulisami myśli konspirowały dalej, tłocząc się złowróżbnie, morderczą szepcąc mu pokusę, że lepiej stokroć, by Mela umarła, że to nonsens zatrzymać ją przy życiu etc. etc., to myśli te już nie miały siły czynu, już nie brały udziału w akcyi. — Poprawna myśl stanęła na przeszkodzie pierwszemu planowi wybujałemu w umyśle; — aktor na scenie grający — już nie dawał się zbałamucić szmerom zakulisowej anarchii, lecz siłą nabytej rutyny re-

cytował bez zająknienia i z odpowiednią intonacyą rolę przyzwoitego lekarza, umiejącego wobec najbardziej niespodziewanych fachowych wypadków zachować zimną krew, uspokoić pacyenta:

— Ależ dlaczego pani wcześniej się mnie nie zaradziła? — począł zrzędzić.

Widocznie przybierała sobie pani do główki tę straszną chorobę, bo aż mi pani pomizerniała! Ej, pani Melu, jak to niełądnie nie mieć zaufania do swego lekarza! Gdyby pani była wcześniej uchyliła przede mną tej sztucznej secesyjnej fryzurki, bylibyśmy się dawno już pozbyli tego niemiłego gościa.

Po twarzy Meli przemknął jasny blask, jakby w ponurych nocach błysnęło jej niespodzianie zaranie nadziei!

— Więc pan sądzi, że to nie jest... — tu ucięła, nie chcąc się zbyt wyraźnie wypowiedzieć — że to nie będzie uporczywe — poprawiła się, patrząc prosząco, niemal błagalnie w twarz Antoniego. Zawisnęła na jego wzroku, jak tonący na wiotkiej linie ratunkowej.

On nie mógł wytrzymać jej spojrzenia! Mimo gorącej chęci zatajenia prawdy — na błyskawicznie krótką chwilę — zgryzota i ból wypełzły mu na twarz.

Jakżeż jej tu powiedzieć, że to się prędko wyleczy, kiedy każdy następny dzień zada kłam jego słowom?... Trzeba ją oszukiwać... lecz oszukiwać skuteczniej. by to oszustwo starczyło jej na dłuższą pociechę!

— Widzi pani, trzebaby być lekarzem, by to zrozumieć — począł, nadając ton lekkości swoim ciężkim wyrazom. — To dobrze znany w praktyce lekarskiej

wyrzut. W pierwszem stadyum usuwa go się łatwo i prędko, ale ponieważ pani pozwoliła się tej historyi zastarzeć, więc kuracya musi potrwać dłużej. Na razie zapiszę pani maść, którą pani będzie twarz smarować, bo mojem zdaniem w tem stadyum, w którem ta rzecz jest, obecnie najlepszą kuracyą będzie rozranić ją i wyprowadzić na zewnątrz a potem dopiero goić!...

Błysk nadziei zagasł w oczach Meli... Wiedziała już wszystko.

— Tak doktorze... rozumiem... tylko... jeszcze jedno — odetchnęła ciężko, jakby pod kamiennym uciskiem — czy to... wyprowadzanie na zewnątrz... prędko nastąpi?

Antoni nie pojął jej słów, sądził, że mu uwierzyła i istotnie tylko pragnie się dowiedzieć, jak długo kuracya potrwa. Odpowiedział więc szczerze, w nadziei, że tym sposobem uchroni ją przynajmniej od bolesnej niespodzianki.

— Maść przepisana będzie działać drażniąco, więc sądzę, że za parę tygodni pierwszy wyprysk wystąpi.

— Ach tak... — wytchnęła z siebie Mela — szarpnąwszy gwałtownie materyą szlafroczka, jakby ją nagle przypiekła, zdusiła ta lekka szata!

Zasunęła się na chwilę w cień, niby szukając czegoś na stojącem pod ścianą biurku... przeszła do szafy... potem do zwierciadła... potem znowu podeszła do okna..... Wszystkie jej poruszenia były bezcelowe— nieświadome siebie — wywołane jedynie instynktowną potrzebą zrównoważenia wewnętrznego wzburzenia.

Wreszcie... opamiętała się — usiadła na pobliskiej otomanie i wskazując na biurko rzekła:

— Proszę, doktorze — tam są przybory do pisania, — zapisz mi łaskawie swoją cudowną receptę. — Tylko proszę — nie pisz o dzisiejszej konsultacyi Stanisławowi ani słowa. Bardzo i stanowczo o to proszę.— Znasz go — zmartwiłby się, jak katastrofą, tym drobnym wypryskiem.

On — który tak kocha moją urodę, — powiedziała z uśmiechem nieskończenie do beznadziejnego załkania podobnym. Pan wie — jego żona — gdy chce być kochaną — musi być piękną!..

— Tak — powtórzył jak echo Antoni — jego żona musi być piękną!..

I Słowa te, rozbrzmiałe w tej chwili po dwakroć — zdały się być ciężkim, szatańsko ironicznym a niewzruszonym wyrokiem nieubłaganego przeznaczenia!

Niepewne światło za oponą chmur zachodzącego słońca przedzierało się przez wysokie szyby kościelne i mieszając się z żółtym blaskiem świec, czołgało się po kaplicy niepewnie, fałszywemi, rudemi smugami — jak złoczyńca, skradający się chyłkiem, tajemnie na miejsce swej zbrodni, w dziwnej nieprzepartej żądzy zobaczenia swej ofiary. Antoni zasuniety w jedną z kościelnych ławek, patrzył uparcie, wzrokiem aż do znie-

ruchomienia wytężonym w jeden punkt ornamentyki drzewnej, zdobiącej kościół. Zdało się, że usiłuje z największym wysiłkiem rozplątać zawiłe linie ornamentu, jakby od tego zawisło rozwiązanie strasznej męczącej go zagadki.

Jednak, rzecz pewna, nie widział on ani jednej linii — nie widział całego otoczenia — oczy jego tylko, w jakiejś chwili przypadkiem w tym kierunku zwrócone, już tam nieruchomie zawisły, zostały na czas nieograniczony, bo nie zabrała ich stamtąd myśl świadoma. Myśl nie potrzebowała na nic tych łączników ze światem zewnętrznym, bo ona odbiegła od niego daleko, wparła się w najwewnętrzniejszą głąb własnej duszy i tam przerażona, zbolała, usiłowała napróżno odnaleść zerwaną piorunnym ciosem nić wytyczną owych sądów — usiłowała napróżno zrozumieć, przystosować do swych pojęć to, co już nieuchronną koniecznością automatyczny świata porządek w szereg faktów dokonanych zarejestrował.

Myśl Antoniego błąkała się bezradnie w zawrotnym wirze nagle, niespodzianie w duszy wylęgłych zalewów procesów psychicznych, co miotały się tam i sam, nie dając się powiązać, uporządkować, przemyśleć do końca. Jeszcze nie miał czasu zrozumieć tego, co się stało, a już boleść falą rozpaczy zalewała jego świadomość, jeszcze nie zdołał myśli wynurzyć z tej fali bolesnej a już głos sumienia powołał go do strasznego obrachunku z jego w rzeczach spełnionych udziału. I stawał przed tem najstraszniejszem forum

własnego „ja", jako oskarżyciel, jako oskarżony, jako świadek i sędzia odrazu.

Nie mógł objąć faktów myślą rozumną, nie umiał osądzić, czy stało się dobrze, czy źle, czy on w tym, nie do końca jeszcze rozegranym dramacie, był li tylko nieszczęśliwym, bolejącym uczestnikiem, czy karygodnym winowajcą.

Oto już dzień drugi dobiegał do końca, od kiedy on począł zmagać się z tym strasznym zalewem, od kiedy całym wysiłkiem swego mózgu usiłował ująć myśl niesforną w prawidłowe koryto logiki — i coraz bardziej daremnie, z coraz większą beznadziejną rozterką.

Mechanicznie jak prostak, bez krytycyzmu rozumu, przechodził raz po raz ubiegłe wypadki, rozsnuwał je ciągle na nowo, w ściśle chronologicznym porządku, nie wyprowadzając z nich konkluzyi, nie grupując ich podług pokrewieństw, nie oddzielając ważniejszych od podrzędnych. Z automatyczną ścisłością biografu odtwarzał po kolei i z pewną tępą obojętnością zarówno fakta zewnętrzne jak własne myśli i własne uczucia aż do pewnej chwili — od której zdawało się, że straci zdolność dalszego samoistnego myślenia!

Wczoraj rano siedział w swojej pracowni, usiłując napróżno przykuć uwagę do trzymanego w ręku fachowego dzieła. — Na dworze było słotno i szaro, gęste mgły to zasnuwały góry w brudne opony, to odrywały się od nich poszarpanymi łachmanami, a ukazujące się wtedy ostre cyple skał wyglądały jak wychudłe, kościste ramiona żebracze, wyciągnęte z roz-

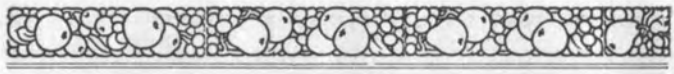

paczną prośbą do ukrytego za chmurami ponurego, okrutnego Bóstwa!

Wiatr wył i jęczał potępieńczo, wezbrane wody płynęły z dzikim łoskotem, rozbijały się o kamienie a to uderzenie rozrywające ich płynne ciała zdawało się zadawać im ból śmiertelny, przejawiający się w strasznym, ogłuszającym ryku, w bezustannej skardze cierpienia.

Deszcz uderzał o szyby jednostajnie, miarowo, jakby szemrał długą, cierpliwą a niewysłuchaną modlitwę. Wszystko w przyrodzie nastroiło się na ton skargi, bolu!..

Antoni nagłym ruchem zerwał się z krzesła. Z wyrazem bezsilnej wściekłości zanurzył palce w swe bujne włosy, rozraniając sobie w tym gwałtownym ruchu paznokciami skórę... Chciałby był wyć, kąsać, bić... popatrzył w okno i zaklął głośno — brutalnie.

Niech to wszystko szlag trafi!... kapie i kapie i dusi człowieka tą jednostajnością! Niechby psiakrew — wszystkie pioruny trzasły raz we mnie i w ten cały podły ziemski czerep, niechby się rozpękły bestye na proch razem z tem całem szubrawem istnieniem!

Cała jego istota wołała o jakąś nagłą katastrofę, o jakiś niebywały kataklizm przyrody czy wypadków, o coś straszliwego w swej grozie, lecz o coś natychmiastowego, żeby, choćby łamiąc i druzgocąc, przyniosło wyzwolenie z położenia bez wyjścia.

Trzy dni upłynęło od jego wizyty u Meli. Odtąd nie był u niej, nie widział jej. Nie mógł się prze-

móc, by popatrzeć znów w tę twarz naznaczoną stygmatem ohydnego przeznaczenia — nie mógł przenieść tortury własnej świadomości.

Gdyby był choć cień nadziei... gdyby mógł ją wyleczyć!...

Dniem i nocą czuwałby niezmordowanie nad nią, z wnętrza własnego serca wydarłby dla niej ratunek.

Ale medycyna była bezsilną!

Więc klął od trzech dni i wściekał się, wściekał się i klął w poczuciu swej bezradności! — Przeklinał całą wiedzę, szydził bezlitośnie ze wszystkich zdobyczy myśli ludzkiej... Cóż mu po nich, cóż po tych wszystkich odkryciach, studyach, cóż po tych wszystkich życiach, poświęconych mozolnym badaniom, stwarzaniom nowych teoryi — jeśli to wszystko nie może starczyć na odwrócenie nieszczęścia od jednej, jedynej istoty ludzkiej, jeśli cały ten ogrom pracy i wysiłków ludzkich nie jest mocen zniweczyć tej jednej, małej, drobniutkiej plamki różowej na policzku Meli!

Poczucie zupełnej bezsilności odbierało Antoniemu przytomność nieledwie. Z uporem maniaka powtarzał w myśli to jedno krótkie a straszne w swej bezradności pytanie:

Co robić?!..

Nagle zapukano gwałtownie do drzwi. Antoni wzdrygnął się nerwowo:

— Proszę!

Do pokoju wbiegła pokojowa z willi „Szarotka".

— Proszę, niech Pan Doktor zaraz biegnie — pani Kęcka bardzo chora, już od trzech dni się

skarzy, ale teraz pogorszyło się nagle... kazała zaraz prosić... I... mnie się zdaje, że to naprawdę bardzo pilne... wyrzuciła ze siebie jednym tchem, z miną bardzo przerażoną.

Antoni przy pierwszych słowach już był przy drzwiach, ledwie schwyciwszy kapelusz, popędził jak szalony; krótka droga oddzielająca go od willi zdała mu się wydłużać w nieskończoność...

Wiedział... przeczuwał, że stało się coś strasznego.

... Mela leżała na szezlongu a ciałem jej co chwila wstrząsał mimo wysiłków woli skurcz bolesny. Twarz jej z białych batystów matinki wychylała się widmowo blada, oczy bolem rozszerzone świeciły jak czarne dyamenty.

— Co pani — na miłość boską, co się stało? Co pani zrobiła?...

— Nic doktorze, wierz mi, że nie zrobiłam niczego, coby nie było niezbędną koniecznością! Wszak mówiłam ci dawno, że jestem chora na serce, choroba się wzmogła, to atak sercowy...

Mówiła z widocznym wysiłkiem, choć usiłowała się uśmiechać. Twarz jej mieniła się jak wnętrze muszli perłowej to w połyskliwą siność, to w płowe, słomiane cienie.

Antoni poszedł za kierunkiem jej wzroku i spostrzegł opodal na stoliku flaszeczkę aptekarską.

Chwycił ją gwałtownie — był to przez niego przepisany arszenik. Na białej etykiecie widniał znak aptekarski, zwyczajny dla trucizn: trupia czaszka. Cza-

szka ta naga i bezczelna wyszczerzała się teraz do niego w szyderczym grymasie:

Patrz — tyś to zapisał a — flaszeczka próżna!

Antoni rzucił się ku drzwiom! Przeciwdziałać, zapobiec, ratować!

Lecz nagle coś przykuło go do miejsca. — Zostań, — biegł za nim nieodparty rozkaz z ust Meli.

Głos jej, choć słaby, miał w sobie jednak jakąś przemożną moc nakazującą, jak wezwanie z zaświata.

I Antoni, opanowany jego siłą suggestywną, zawrócił od drzwi ruchem bezwolnym, złamanym i posłusznie, jak skarcone dziecko, usiadł obok Meli na wskazanem mu przez nią krześle.

A ona już znowu łagodnie, jak chora matka napominająca lekkomyślne dziecię za nierozsądne zamiary, mówić zaczęła:

Po co iść chciałeś, zastanów się!... Szukać ratunku przed wybawieniem?

Posłuchaj mnie raczej.

Początkowo miałam zamiar nie wzywać Cię do siebie, chcąc ci oszczędzić tych przejść bolesnych. Napisałam dla Ciebie ostatnią siostrzaną spowiedź mego żywota, tłómacząc ci w niej czyny moje i ich pobudki. Lecz... potem... w ostatniej chwili zrozumiałam, że to za mało... Są rzeczy, których pismo nie odda, które trzeba wypowiedzieć, przeżyć razem, aby nabrały mocy przekonywającej. Ulękłam się, że gdy bez przygotowania spadnie na ciebie groza wypadków, ogłuszą cię one swą brutalną siłą, odbiorą ci zdolność sądu, zdolność uznania ich bezwzględnej konieczności, że ugniesz się

pod ich brzemieniem, niezdolny do spełnienia zadania, jakie dla twej przyjaźni przeznaczam.

Trzeba — abym cię uprzedziła póki tu jestem...

A nadto jest jeszcze jeden obowiązek, który serce chciało wypełnić, którego nie chciało zbyć martwą literą jedynie: a tym jest moje jasne dziękczynienie dla ciebie za pomoc — mimowiedną — w wypełnieniu moich zamiarów i stokroć gorętsze dziękczynienie za tę pomoc, jaką mi przyniesiesz, doprowadzając do końca zaczęte przeze mnie dzieło wtedy, gdy będzie z tobą już tylko moja niezłomna wola w twój czyn wszczepiona, bo wiem i wierzę twej przyjaźni, że nie zepsujesz mi dzieła, za które życie kładę.

Z wysiłkiem sięgnęła do szufladki obok stojącej szafki. Wyjęła stamtąd zwój papieru i podała go Antoniemu:

— Oto jest... to moja ostatnia spowiedź i z niej wynikająca ostatnia moja wola, mój testament, którego ty będziesz egzekutorem. — To pismo cię przekona, że uczyniłam dobrze i, że ty nie przeszkadzając mi w tem, spełniłeś rzecz dobrą, godziwą.

I ujęła jego rękę w swe drżące, wstrząsane bolem dłonie, zimne i wilgotne od wewnętrznego wysiłku.

— Dziękuję ci, dziękuję z całego serca za to, co dla mnie uczyniłeś i jeszcze uczynisz, gdy mnie już nie będzie.

Puściła jego rękę, a z piersi przemocą wyrwał się jęk bolu... Osłabienie się wzmogło, na czoło wystąpiły perliste krople potu... W nagłym braku tchu

uczyniła rękoma kilka szybkich, mimowolnych ruchów, podobnych do trzepotania skrzydeł duszącego się ptaka.

Antoni runął do jej stóp! Bezmiar bolu odbierał mu wszelkie kryteryum. Zapomniał o swoich własnych refleksyach i buntach, o swoich własnych dzikich, szalonych, morderczych myślach dni ostatnich, z których każdy, gdyby wcielić i dać jej nóż do ręki, to cały tłum morderców otaczałby w tej chwili to wątłe ciało kobiece... On teraz wiedział tylko jedno — jedyne, że oto ginie — odchodzi na zawsze jego ukochanie, jego blask, istota, za której ocalenie oddałby własne życie — — a on nie ma możności zatrzymania jej... nie ma prawa zawołać na nią: pozostań!... nie ma prawa uchwycić jej szaty rozwiewnej, wstrzymać ten kształt drogi w odlocie.

Zaczął łkać gwałtwonie, bezradnie jak dziecko.

Mela opanowała siłą woli swe osłabienie i poczęła ruchem pieszczotliwym gładzić tę głowę mężczyzny, wstrząsaną niemęskiem łkaniem.

— Nie płacz — mówiła — nie płacz — szkoda marnować tych chwil tak już krótkich... Niedługo się rozstaniemy — a to atak sercowy — pamiętaj o tem — uśmiechnęła się blado — widzisz — ja trafniejszą od ciebie postawiłam dyagnozę... I ty teraz musisz to zaświadczyć przed Stanisławem...

Patrz teraz na mnie — abyś, gdy przedając mu ostatnie moje pożegnanie, mógł mu zaświadczyć, że żona jego do ostatniej chwili życia była taką, jaką jedynie umiałby kochać — do ostatniej chwili była piękną.

Antoni mimowiednie prawie podniósł na nią wzrok łzawy.

— To prawda — nawet w tej przedśmiertnej godzinie Mela była przedziwnie piękną; mimo cierpienia nie pozwoliła twarzy wykrzywić się niekształtnym skurczem.

Alabastrowo przeźrocza twarz o regularnych rysach z oczyma rozżarzonymi wewnętrzną siłą woli przypominała jakąś bohaterkę idei, rozjaśnioną i silną wśród męczarni na stosie ofiarnym.

Widząc ją taką, Antoni zrozumiał nagle, że kobietą tą nie kierowało chwilowe rozdrażnienie, że patrzył raczej na akt finalny niezłomnej, świadomej siebie woli, kierowanej jakiemś wielkiem, niepospolitem uczuciem.

— Chwilowy wysiłek znów odebrał Meli siły — opadła na poduszki otomany, przymknęła oczy, lecz z ust jej wypłynęły jeszcze ciche, jak tchnienie, słowa:

Pamiętaj — umieram na serce, czyż może być śmierć piękniejsza!?...

Zamilkła... Oddech jej stawał się coraz lżejszy — anioł śmierci, znieczulając stopniowo organizm, odbierał mu litośnie wrażenie fizycznego bolu — owiewał konającą słodkiem poczuciem nieśmiertelnego spokoju. Tylko jeszcze świadoma siebie dusza przejawiała się w skupionym blasku otwartych znowu oczu... Łagodnem spojrzeniem obejmowała klęczącego mężczyznę, jakby w jego osobie żegnała całą doczesność.

I oto teraz leży tu, w tej kaplicy, wśród zieleni i wonnych kwiatów górskich łąk, których całe mnóstwo narzucono na jej trumnę — leży cicho i spokojnie...

Śmierć wygładziła, wyokrągliła jej wyszczuplałą twarzyczkę, która zdaje się uśmiechać przyjaźnie do Antoniego, jakby mu chciała nieść ulgę, rozprószyć jego zgryzoty. — Bujnie rozczesane sploty złocistych włosów przysłaniają znowu — w pośmiertnej kokieteryi — tę

brzydką plamę, która w tej chwili zdaje się być Antoniemu złośliwą chimerą jego wybujałej wyobraźni tylko...

Ta złocista główka, ta pełna wdzięku okrągła, przejrzyście biała twarzyczka o rysach klasycznnie czystych, z przecudną frendzlą długich rzęs, spuszczonych na wielkie oczy, jakby w figlarnem przekomarzaniu, tchną takim urokiem, takiem—jakby jasnem rozradowaniem, migotliwe światło świec wywołuje na tej twarzy tak łudzące figlarne uśmiechy, że rzeczywista tragiczność sytuacyi zdaje się nieprawdopodobną śmiesznością. Być nie może, aby pod tą falą złocistych włosów, pod tem czołem tak czystem i pogodnem, zrodzić się mogła ponura myśl samobójcza, by ostatnim napojem tych ust doskonale wyciętych i lekko w tej chwli jak do pocałunku rozchylonych, mógł być okrutny płyn trujący!...

I Antoni nie wie już, co jest prawdą, a co fałszem, co rzeczywistością a co może jakimś tylko snem okropnym — igraszką złudną jego wyobraźni...

Chce oprzytomnieć, mieć pewność... Dotyka ręką piersi — i oto rzeczywistość wraca...

Tam na piersiach złożony zwój papieru — ostatnia spowiedź Meli — i jego drogowskaz w okropnym labiryncie ostatnich wydarzeń...

Oto co pisała Mela:

Drogi mój przyjacielu!

Wybacz mi, wybacz tę ciężką chwilę, jaką wiem, że przeżywasz, gdy oczy Twoje jeszcze na wpół nieprzytomne z przerażenia poczynają odczytywać te wyrazy.

Czuję się winną wobec Ciebie, wobec Twego sumienia, które — rozumiem to aż nadto dobrze —

wystawiam na trudne walki! — By zmniejszyć mą winę, składam przed Tobą tę moją spowiedź, bo w niej mieści się nietylko uzasadnienie mojego postępku, ale także uspokojenie i wyzwolenie Twojego sumienia.

Zastanowiwszy się nad tą smutną spowiedzią duszy, zmuszonej tak wcześnie do odlotu z krain, gdzie się jej tyle jeszcze słoneczności i kwiatów szczęścia uśmiechać zdawało, zmuszonej do samodzielnego stargania tylu drogocennych nici serdecznych ukochań — zrozumiesz, że jednak droga przeze mnie obrana była jedynie właściwą i, że nie wstrzymując mnie w tym pochodzie, uczyniłeś dobrze — a wtedy będziesz spokojny, choć smutny.

Tak, drogi Przyjacielu! Wróg straszny, nieubłagalny spętał mnie zdradziecko, gdym w mojem zacisznem gniazdku u boku ukochanego człowieka chłonęła samą tylko jasność i radość istnienia, darząca szczęściem i wzajem niem darzona.

Straszną była chwila, gdym obecność tego wroga spostrzegła, straszniejszą ta, w której zrozumiałam, że nie tylko mnie samej on grozi, lecz że zarazem skazi on i zatruje jadem to moje gniazdo ukochane i że jedynym sposobem uratowania tej mojej świątnicy od skalania, to opuszczenie jej na zawsze; żeby wygnać z niej nieubłagalnego wroga, trzeba wraz z nim odejść na wieczyste wygnanie!

Nie było to łatwe postanowienie! Kobieta młoda, kochająca i kochana nie rzuca życia lekko — bez walki... I ja walczyłam długo... rozpacznie... badałam Stanisława i siebie... a rezultat badań — teraz Ci wiadomy...

Nie myśl, że wypędza mnie stąd przedwcześnie próżność, nie umiejąca przeżyć utraty piękności — lub obawa przed czekającemi mnie cierpieniami!! O nie — to nie to!

Ja tak kocham Stanisława, że każdy dzień więcej przeżyty przy nim i z nim jużby mi był wart ceny najcięższych cierpień... jednej tylko ceny nie mogłam dlań nałożyć — ceny postradania jego miłości, przykuwania go do swego boku siłą obowiązku wtedy, gdyby wstręt przyrodzony odpychał go ode mnie!...

Zanim doszłam do wiadomego Ci teraz rozwiązania problemu, próbowałam innych dróg...

Czyż tracąc piękność fizyczną, dotknięta tak strasznie, bez żadnej osobistej winy, okrutną dłonią przeznaczenia, musiałam zarazem stracić miłość Stanisława!?..

Przecież istota moja moralna nie zostanie zarażoną szpetotą ciała i dusze nasze, skojarzone długoletnim węzłem najpiękniejszej z miłości, zatryumfują nad przypadkowem złem, snując dalej nieprzerwanie tęczową nić duchowej miłości! — Wszak wiadomo Ci, że w kołach naszych znajomych przykładowem wprost stało się nasze zespolenie ideowe, fenomenalna nieledwie jedność i harmonia dusz naszych. Wierzyli w nią wszyscy a my sami wierzyliśmy najsilniej, najszczerzej!

A jednak — mój przyjacielu — to było tylko złudzenie!...

Żeby Ci to jaśniej wytłumaczyć, muszę zawrócić trochę od moich osobistych przeżyć ku uogólnieniu mężczyzny do kobiety, w mojem obecnem jego rozumieniu...

A z tego ogólnego tła już jako logiczna dedukcya wysnuje się i nasza smutna historya.

Bo też do takiego zrozumienia tej kwestyi nie doprowadziły mnie oderwane spekulacye filozoficzne — dobyłam je z własnego krwawiącego się serca — każdy wniosek sprawdzałam, przecinając myślą jak nożem sekcyjnym własną swą duszę — wysyłając własne uczucia, jak boleśnie czułą sondę w głąb serca ukochanego!

I oto smutna synteza tych badań:

Mężczyzna, kochając kobietę, nigdy nie kocha jej duszy! — On, albo tylko wyłącznie pożąda jej ciała — i to jest ogólnie znany tak zwany niższy typ miłości: miłość zmysłowa — lub też, opierając swe własne myśli i uczucia o zewnętrzność kobiety, jakby wzrok o taflę zwierciadła, kocha w niej odblask swej własnej duszy — i wtedy się nazywa, że kocha idealnie. Ale jak wzrok nie sięga po za gładką taflę zwierciadła, tak i miłość ta nie przenika głębi duszy kobiecej, przejmuje tylko swoje własne uczucia tem wierniej i wyraźniej, im nieprzenikliwszą jest powłoka zwierciadła.

Znasz wierszyk z liryków Heinego?

Ich kann es nicht vergessen
Holdes geliebtes Weib,
Dass ich dich einst besessen
Ganz Seele und den Leib!
Deinen Leib möcht ich noch haben,
Dein Leib so frisch und jung!
Die Seele könnt ihr begraben...

Hab selber Seele genug!
Meine Seele will ich zerschneiden
Und hauchen die Hälfte dir ein —
Und will dich umschlingen, wir müssen
Ganz Leib und Seele sein!..

Wierszyk ten przeczytany kiedyś dawno — utkwił mi jakoś szczególniej w pamięci... W chwilach szczęścia powtarzałam go często z pobłażliwym uśmiechem, widząc w nim żartobliwe, cyniczne nieco wyznanie mężczyzny, dla którego kobieta jest tylko zmysłowem pożądaniem. — Później... w ciężkich chwilach zmagania się mej duszy, ten lekki napozór wierszyk stał mi się nagle pochodnią roświetlającą jaskrawo nieznane mi dotąd tajniki odnosin męskiego ducha do kobiety! — Tak, to niezmienne prawo miłości mężczyzny powiada: Dein Leib möcht ich noch haben..... die Seele könnt ihr begraben, hab selber Seele genug...

W każdym stosunku mężczyzny do kobiety powtarza się to jako stała reguła, tylko, że niektórzy mężczyźni powtarzają to świadomie, u innych przejawia się to tylko jako fakt bez udziału ich świadomości. — A wtedy ci ostatni dodają: Meine Seele will ich zerschneiden und hauchen die Hälfte dir ein!.. wir müssen ganz Leib und Seele sein! — A więc dwa ciała i jedna dusza, dusza mężczyzny!

I w tej bezsławnej mowie męskiego ducha tkwi wyrok zatraty dla równouprawnienia ducha kobiety! — Równouprawnienie to może nastąpić na wszystkich polach; mężczyzna może uznać kobietę jako towarzyszkę pracy fizycznej i intellektualnej, jako równego przed

prawem obywatela — w zakresie miłosnych odnosin, jednak, mężczyzna zawsze powie kobiecie: Deine Seele könnt ihr begraben, hab selber Seele genug! — Bo tutaj zawsze potrzebna mu tylko kobieta, jako ciało — choćby nie w znaczeniu zadowolenia zmysłowego — ale jako kształt zewnętrzny, ku któremuby wysyłał swoje własne myśli i uczucia.

Gdy mężczyzna taki kształt sobie wybierze, wtedy zaczyna się dzielenie własnej duszy. Pół duszy zostawia sobie dla subjektywnego odczuwania, drugą połowę wysyła nieustannie ku wybranej kobiecie.... I naturalnie im dusza mężczyzny jest bogatszą, świetniejszą, tem większym blaskiem ją prześwietla, tem świetniejszą otacza ją aureolą! I stąd tak często mamy przykłady, że kobieta o małej wartości moralnej, jest więcej, potężniej kochaną od najszlachetniejszej, najbogatszej natury kobiecej: Bo jakość i potęga miłości nie zależy od tego, jaką jest kochana, ale jakim ten, który kocha!...

Odbywa się tu coś podobnego jak przy znanych świetlnych produkcyach w teatrze rozmaitości. — Na zawsze jednaki kształt kobiecy rzuca reflektor coraz to inne świetlne blaski i coraz to inny pełen uroku obraz ukazuje się oczom widza. Złudzenie jest tak zupełnem, że widz nie spostrzega, iż światła tworzące obraz są tylko refleksem, ale ma zupełne wrażenie, że są bezpośrednią emanacyą ustrojonej niemi postaci!

I złuda trwa tak długo, póki postać pozostaje biernie w odpowiednej dla świateł reflektora pozycyi.

Biada, gdyby dowolnie, z własnego impulsu zmieniła układ. Czar pryśnie natychmiast!

Tak i w miłości! Dotąd dobrze, póki kształt upatrzony można dowolnie oświetlać własnymi blaskami. Bo tu reflektor jest naturalnie zarazem zupełnie naiwnym spektatorem, nie przeczuwającym bynajmniej, że podziwia swoje własne światło!

I takim to cudownym, rajskim w swej złudzie teatrem było moje życie, tem cudowniejszym, bardziej czarownym, że żadne z nas — uczestników i aktorów zarazem — złudy tej nie przeczuwało!

I ja też przez długie lata sądziłam, że i mojej duszy blask przyczyni się do naszego szczęścia! — Aż gdy nagle oddzieliła mnie od Stanisława czarna zasłona złej doli — znalazłam się odrazu w ponurym pogrążona cieniu! — On tego nie spostrzegł, jak zdarza się nieraz, że wskutek nawyknienia pamięci i zmysłów nie odrazu spostrzegamy brak przedmiotu, o którego obecności jesteśmy silnie przeświadczeni. — Lecz ja spostrzegłam i zrozumiałam grozę położenia.

Stało się to tak:

Wiadomo ci z naszego pożycia, że mieliśmy zwyczaj w długich rozmowach dzielić się ze sobą każdą myślą i każdem wrażeniem. Nazywało się to w naszym języku miłosnym transfuzyą uczuć, wzajemnem dusz przenikaniem. Ale to było co innego! To tylko Stanisław dzielił swą duszę na dwie połowy, a ja wchłaniałam ją w siebie cudem assocyacyi z uczuciami ukochanego, do jakiego jest zdolne serce kochającej kobiety. — Potem znów przez moje oczy, jak przez cudowne zwier-

ciadło miłości, przez moje usta rozkochane, ta duszy połowa wracała napowrót do niego i on ją jako moją duszę przyjmował. Tymczasem moja osobista dusza milkła tylko z wielkiego rozmiłowania, usuwała się na dalszy plan, by zrobić gościnne miejsce jego duszy połowie.

Lecz ja naturalnie nie analizowałam — nie przeczuwałam niczego — zupełnie, bezgranicznie w tej nieświadomości szczęśliwa! —

I trwało tak dopóty, dopóki moja własna dusza nie nabrzmiała nagłem cierpieniem i lękiem przed groźnem widmem przyszłości, nie upomniała się w mem jestestwie o miejsce należne jej własnej odrębności! — I wtedy dusza moja chciała mówić ukochanemu swą własną mową o własnem cierpieniu... Ale on jej nie rozumiał, nie słyszał, bo te nowe dźwięki nie znalazły żadnych odpowiednich przesłanek w jego duszy, nie znalazły z nią żadnej wiążącej struny!... I wtedy zrozumiałam, że on tej mojej odrębnej, prawdziwej duszy nigdy nie znał, że o jej istnieniu nic nie wiedział!... I zrozumiałam, że nie zdołam połączyć mojego odrębnego czucia z jasną symfonią jego miłości, że raczej wniosę w nią dziki dyssonans, co starga na zawsze złocistą naszą harfę.

Na to odkrycie dusza moja zastygła w niemocie, skamieniała z przerażenia... Ale on tego nie spostrzegł, nie brakło mu ani jednego blasku ni tonu, bo wszak jego dusza niezmiennie, po dawnemu rzucała bogactwo swych barw na ukochany kształt kobiecy, o którego niezmienności był przekonany!..

Gdym się dowiedziała od lekarza, czem jest ten złowrogi wyprysk na mej twarzy — w rozpacznej rozterce, mimo wysiłków, nie mogłam z takiem, jak dawniej wylaniem prowadzić naszych rozmów — do obopólnych dawniej zwierzeń z mojej strony nie przynosiłam już nic.... On tego nie zauważył, wypowiadał bez troski, po dawnemu, swoje tylko radości, myśli, przeżycia, nadzieje — — bo miał dosyć swej własnej duszy — moja mu nie była potrzebna!..

Natomiast był mu potrzebny mój kształt, około którego snuł tę całą przędzę swego wewnętrznego życia, kształt, który ukochał i z którego był dumny.

I ten kształt zmienić się nie mógł, bez zerwania brutalnego tej bogatej przędzy!

U mężczyzny kochają przedewszystkiem oczy!

I im piękniejszą jest kobieta, im więcej dla tej piękności kochaną, tem okrutniej przychodzi jej odpokutować utratę swojej piękności!..

U mężczyzny kochają oczy!

Takie to już zrządzenie Bóstwa!

Nie czynię też z tego zarzutu mężczyznom w ogóle a Stanisławowi w szczególności! Cóż oni temu winni, że Bóstwu tworzącemu światy podobało się tak ukształtować stosunek mężczyzny do kobiety!

Mogłabym złorzeczyć temu Bóstwu, że jest tak bezlitośne, iż odbierając kobiecie kwalifikacyę, aby była kochaną, nie niszczy równocześnie i w jej sercu zdolności kochania i pragnienia wzajemności, jak gdyby chciało czynić sobie igraszkę z jej krwawiącego serca!

Nie złorzeczę mu jednak, bez skargi uchylam gło-

wę przed jego nieubłaganą mocą — nie walczę z piętnem ohydnem, którem mnie naznacza, lecz z poddaniem przyjmuję jego wyrok w nadziei, że za to otrzymam odeń przebaczenie za zgwałcenie innego z praw, któremi spętało istotę ludzką: zgwałcenie prawa instynktu samozachowawczego.

Niezbłaganą jest twarz Bóstwa, zwrócona ku ziemi, uchodzę przed jego srogą potęgą z nadzieją w mem sercu z bolu omdlałem, że z tamtej strony wiekuistego bytu, Bóstwo — jak dwugłowy Janus, uśmiechnie mi się twarzą nieśmiertelnego miłosierdzia i przebaczenia!

Stanisław mógł mnie kochać tylko piękną — on esteta w każdym calu — ja bez jego miłości żyć nie mogę — dlatego odejść muszę!

Ty to zrozumiałeś natychmiast mój przyjacielu, gdy odsłoniła Ci się niezwalczona groza mej choroby!

I ta pierwsza, instynktowna myśl mordercza, myśl zgładzenia mnie, by zapobiec ohydzie, która wtedy zabłysła w Twoich oczach, była jedynie właściwą oceną w tej sytuacyi. Zrozumiałam Twój wzrok w owej chwili i stał on się dla mnie ostatnią nieocenionej wartości sankcyą mego postanowienia! Od tej chwili wiedziałam, że nie błądzę, że obrane przeze mnie wyjście jest jedynem wyzwoleniem od cierpień stokroć od śmierci gorszych!

Dzięki Ci za ten wzrok szczery, nieosłoniony małostkowością konwenansu, za ten zbawczy wzrok prawdziwej przyjaźni....

— I jeszcze jedną dałeś mi nieocenioną radę, wielką olbrzymią pociechę!

Było to wśród naszej pamiętnej rozmowy w dolinie Kościeliskiej:

Powiedziałeś wtedy:

— Niezmącone wspomnienie, to wielki skarb dla człowieka, który inne skarby postradał! —

Ja tak ukochałam Stanisława, że jedynym celem mego istnienia było słać mu na drogę życia wszystkie skarby i wartości świata! — Dziś życie moje już mu szczęścia dać nie może, odchodzę więc w samą porę, by go obdarować jeszcze ostatnim skarbem, na jaki mnie stać, by mu zachować niezmąconość wspomnień!

I do spełnienia tego zamiaru wzywam dziś Twojej przyjacielskiej pomocy! — Pamiętaj, spowiedź moja tylko dla Ciebie — Stanisław nic o tem wszystkiem wiedzieć nie może! Nie może nigdy się domyśleć, przed jakim strasznym wrogiem uciekłam z jego ukochanych objęć!!

Niech żaden cień nie przysłania świateł, jakie jego dusza będzie dalej snuła około mojej umiłowanej przez niego postaci. — Nie mogąc dłużej żyć dla niego, niech trwam przy nim dalej jako abstrakcya, wspomnienie ukochanego kształtu, niech będzie szczęśliwy w wyobrażeniu, że ukochał tak moją duszę, że miłość ta zwyciężyła nawet grób!

Nie budźmy go, niech śni...

A teraz żegnaj mi mój, aż po za ziemskie istnienie, wierny sojuszniku i sprzymierzeńcze!

Mela.

Każde słowo tego listu wyryło się w umyśle Antoniego z taką wyrazistością, że teraz powtarza je w myśli, widzi przed sobą jakby żywym ogniem kreślone.

Lecz bezradność rozpaczna jego umysłu za wielka, by je mógł rozważyć rozumem, by mógł uznać słuszność argumentacyi Meli, lub odrzucić ją i własny sąd sobie stworzyć. — I nie może wyjść z błędnego koła bezowocnych dociekań, czy to, co się stało, było koniecznością nieubłaganą, czy strasznym Meli kaprysem, czy jego okropną zbrodnią?...

I próżno słodka twarzyczka Meli zdaje się uśmiechać do niego ze swego wieczystego posłania, jakby niosąc mu otuchę — pocieszenie... W nim nie ustaje dzika walka — nie rozplątuje się straszny problemat:

— Czy mogłem, czy powinienem był dopuścić do tego, co się stało?.. Czy nie było moim obowiązkiem oddalić bezwzględnie tę śmierć przedwczesną, wydrzeć przemocą z jej objęć tę kobietę, co się w nie rzuciła w dobrowolnej ucieczce przed straszliwym wrogiem?..

Czy miałem prawo być cichym wspólnikiem tego czynu?.. Czy ta kobieta miała sama prawo odejść w ten sposób od męża, do którego należeć powinna była aż do śmierci — ale śmierci naturalnej, przyrodzonej?

Czy my oboje nie staliśmy się w obec niego karygodnymi wspólnikami — złodziejami tego życia, do którego on miał prawo?..

Wszak nieraz, mimo mąk własnych i ukochanej istoty, najbliżsi, jak skarbu strzegą każdej minuty niknącego życia, mimo nieuniknionej katastrofy, za wszelką

cenę starają się je przedłużyć bodaj o dzień jeszcze — bodaj o godzin parę!..

I gorzka zgryzota żre mu duszę najgorszym jadem — jadem zwątpiałego sumienia!..

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

Ruch jakiś w cichej kaplicy...

Ach! — przecież się coś odmieni!.. Stanisław wpadł do kościoła! Przybył dopiero co pociągiem. Cały we łzach, w niepohamowanym, okrutnym żalu wobec tej druzgocącej, strasznej i niespodziewanej wiadomości, którą mu przyniósł telegram Antoniego. Rzucił się ku trumnie z dzikiem szalonem łkaniem — które — zdawało się — że rozerwie tę pierś męską... Jęczał i rzęził nieświadomy siebie i swoich łez i swego jęku... I trwał tak w swej boleści długo... długo...

Antoni cicho, bez szelestu wysunął się z ławki i stał niemy, zgnębiony przy tych dwóch ciałach, z których jedno już martwe a drugie — zdawało się — lada chwila zmartwieje pod nadmiarem boleści!..

Antoni miał pełną świadomość poważnej grozy chwili obecnej.

W tej chwili miał się rozstrzygnąć sąd nad nim! Straszny sąd, bo wyda go ból tego człowieka!

Czekał...

Po długich — długich i ciężkich chwilach.. paroksyzm płaczu się uciszył... przełamała się nieograniczoność boleści... Stanisław począł rozróżniać coś więcej po za jej wyłącznością..

Półświadomie poczuł obecność Antoniego... ale jeszcze nie miał dlań słowa ni gestu... jeszcze zbyt absorbował go własny ból, poczucie swego nieszczęścia... nie miał siły na powitanie.. nie miał mocy pytać...

Powstał z klęczek i z wyrazem skupionego bolu zaczął się wpatrywać w ciche oblicze zmarłej...

I znowu zapamiętał się na długo w tej bolesnej kontemplacyi!..

Antoni przechodził katusze oczekiwania... Jaki wyrok padnie z ust tego człowieka?

Wreszcie Stanisław — zawsze wpatrzony w zmarłą — począł szukać półświadomie dłoni Antoniego, pod wpływem zbudzonej w duszy potrzeby oparcia się w ciężkiej chwili o czyjeś współczucie — podziału rozpierającego pierś bolu...

I z ust jego ściśnionych napół stłumionym jeszcze płaczem, poczęły płynąć słowa:

Patrz na nią, na tę moją słodką — jaka ona jeszcze teraz piękna!..

O przyjacielu, taką, jak ją widzę w tej chwili, pozostanie ona na zawsze w mojej pamięci!

Gorzki stumień łez przerwał mowę... lecz po chwili, jakby do własnych myśli, mówił znowu:

Patrz, jak z tej słodkiej twarzyczki, z tych czystych rysów jeszcze teraz prześwieca jej piękna dusza, którą goręcej jeszcze ukochałem niż jej kształt znikomy!..

I ona to, ta jej anielska duszyczka pozostanie na zawsze, jak za jej życia, drogą towarzyszką mojej duszy...

Nawet grób nie zakończy naszej miłości, bo ona nie była z tej ziemi.

Ona zawsze zostanie ze mną taką, jak była, związana nierozerwalnie ze mną wspomnieniem i moją wierną pamięcią.

I znowu utonął w boleśnie rozmiłowanem zapatrzeniu...

Antoni mimowoli spojrzał na zmarłą. Migotliwe światło świec wywoływało złudne wrażenie ruchu na jej słodkiej twarzyczce, lecz Antoniemu zdało się wyraźnie, że Mela uśmiechnęła się doń porozumiewawczo, że poruszyły się jej usta i wionął od niej ku niemu cichy szept:

Niezmąconość wspomnień jest wielkim skarbem dla człowieka, który już wszystkie inne skarby postradał... Widzisz... już tło gotowe, reflektor będzie dalej rzucał na nie uszczęśliwiające go blaski!...

I uciszyło się w duszy Antoniego! — —

Najważniejsze omyłki drukarskie:

Str.	wiersz:	jest:	ma być:
7	10 z góry	miarą	marą
13	14 „	stara	szara
14	14 „	swem oku	swym boku
15	7— „	barwne tworzy symfonie	barwne symfonie
16	1 „	cudowna intuicya	cudowną intuicyą
23	2 z dołu	czyli	czyni
25	5 „	są	za
35	4 „	widzianego	codziennego
35	1 „	znosząc	wznosząc
36	8 „	sklepana	oklepana
42	8 „	mi	nic
49	11 „	przeżyłkiem	przeżytkiem
51	5 z góry	jakżeż	jakież
52	2 „	małe	śmiałe
57	7 „	swe	moc
63	8 „	dały	dałby
63	9 z dołu	natomiast	natychmiast
71	2 z góry	południowej	popołudniowej
73	1 i 2 „	bie-nétre	bien-être
73	13 „	z abażonru	abat-jour'n
88	12 „	ujęła	ujęta
94	5 „	się	cię
96	13 z dołu	moralnie	mozolnie
101	8 z góry	Bogai	Bogać
105	1 „	porannym	pozornym
109	1 z dołu	oko	okno
113	8 z góry	światła	światłu
118	8 „	pokrywały	podrywały
119	1 „	było	były
125	14 z dołu	owych	swych
127	4 „	żeby	coby
132	7 z góry	każdy	każdą
137	2 z dołu	uogólnieniu mężczyzny	uogólnieniu stosunku mężczyzny
139	5 „	bezstronnej	bezsłownej.

Publiczna Biblioteka Miejska
W SANOKU

Publiczna Biblioteka Miejska
W SANOKU

AD-16956

Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

A-16956

001-0019793--00